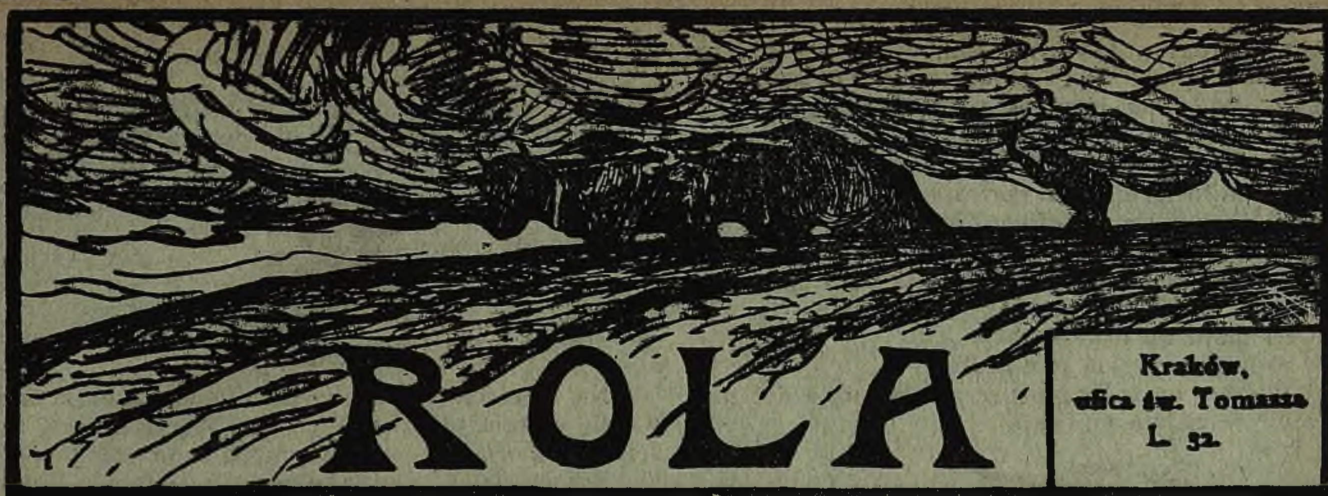
Numer 41. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 11 Października 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Ustosunkowany osioł.

Pan Hieronim, rajca miejski, został członkiem towarzystwa opieki nad zwierzętami. Przejęty tą swoją godnością, w dzień targowy obserwuje rynek z okien magistratu.

W pewnej chwili spostrzega, że jakiś gospodarz okłada niemiłosiernie przyprowadzonego na sprzedaż osła. Wysyła tedy woźnego magistrackiego z interwencją.

Gospodarz zły, że się wtrącają w jego „prywatne“ sprawy, woła:

— Co panu do tego?

— Mnie tu przysyła pan radny.

— Ho, ho, anim przypuszczał, że mój osioł ma przyjaciół w radzie miejskiej.



Obrażona.

— Ile pani ma lat?

— To bezczelność zadawać kobiecie tego rodzaju pytanie.

— Bardzo przepraszam, nie wiedziałem, że pani już taka stara.



Pociecha.

Żona: To ci tylko mogę powiedzieć, że gdy umrę, to drugiej takiej żony, jak ja, nie dostaniesz.

Mąż: Dziękuję ci, żeś mnie pocieszyła.

Czy wolno palić?

— Czy wolno palić w tym lokalu?

— Nie.

— A skąd biorą się tutaj te liczne niedopałki?

— Od ludzi, którzy się nie pytają, tylko palą.



Niewidomy

Na odpuście w cudownem miejscu żebrak odzywa się głosem płaczliwym: „Racz się zmiłować, litościwa osobo, nad niewidomym od urodzenia“.

Przechodzień zatrzymuje się, wydając okrzyk zdziwienia, na piersiach bowiem ubogiego dostrzegł zawieszoną kartkę z napisem: „Głuchoniemy od urodzenia“.

— Ależ, mój drogi, podajesz się jako niewidomy, gdy tymczasem wyraźnie stoi tam napisane, że jesteś głuchoniemym, również od urodzenia.

— O, przepraszam pana najmocniej za pomyłkę, ta bowiem strona karty przeznaczona jest dla innej miejscowości.

I z największym spokojem odwraca swą kartę na drugą stronę.



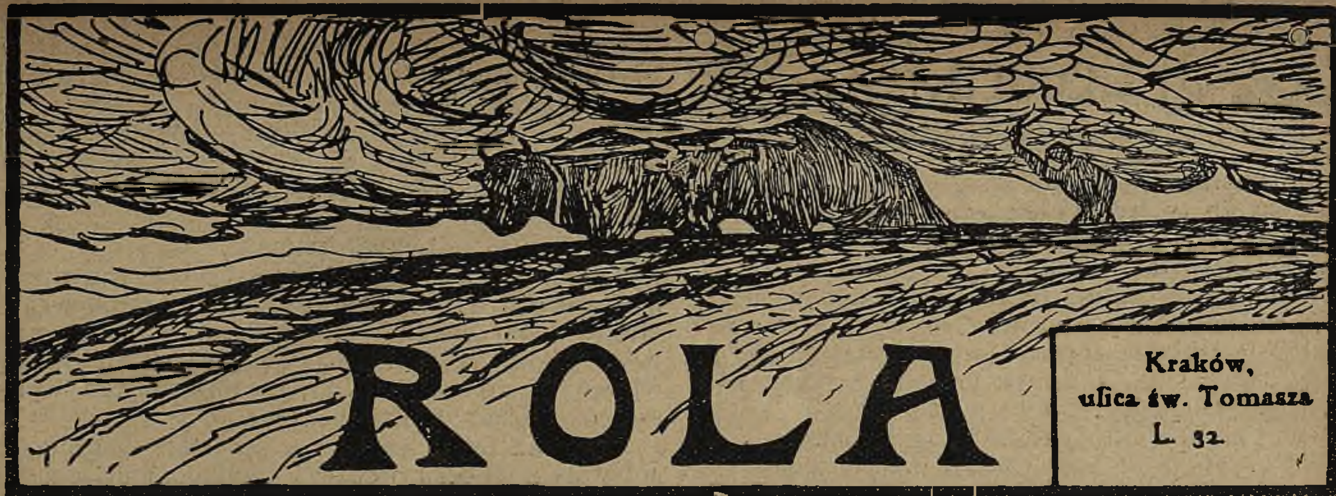
Kuchnia.

— Lekarz zakazał żonie mej gotować.

— To żona pańska jest chora?

— Ona — nie. Ja.

Numer 41. Rok XIV. Kraków, dnia 11 Października 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki roczne 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« Kraków, ulica św. Tomasza 32.
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Pocz. Urząd Czekowy 500.868.

Cel i zadanie życia kobiety.



Kobieta, kochająca mężczyznę, uczciwa, oszczędna i pracowita, to skarb najdroższy, to najlepszy przyjaciel doli i niedoli człowieka.

Rola kobiety w życiu tak poszczególnych jednostek, jako też i całego społeczeństwa, jest bardzo wielka i warto dla niej poświęcić słów kilka.

Każdy wogóle człowiek jest istotą towarzyską. Już nawet od najpierwszej młodości szukamy koleżeństwa, przyjaciół... W miarę jednak dorastania człowiek zaczyna więcej myśleć o sobie, szuka przyjaciela, któryby mu towarzyszył do śmierci, któryby choć w części pomógł mu w spełnieniu zadań, jakie przed każdym człowiekiem stają, słowem dąży do założenia własnej rodziny.

Rodzina chrześcijańska — to najpiękniejsza forma współżycia, a fundamentem rodziny jest i powinna być — kobieta-matka.

Kochający Ojczyznę, mądrzy, uczciwi i pracowici obywatele — to potężne i bogate społeczeństwo. Pierwszą zaś szkołą dla młodziutkich obywateli, — szkołą, od której niemal wszystko zależy — to ognisko rodzinne. Tu każdy z nas ujrzał ten przepiękny świat, tu nauczył się mówić i tu po raz pierwszy wymówił ten piękny wyraz „Ojczyzna". Tu każdy z nas nabrał chęci i zamiłowania do takiego lub innego zawodu, stąd każdy z nas wyniósł myśl, która go skierowała na taką czy inną drogę życia, o czem pięknie powiedział poeta Asnyk:

„Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały;
Choć przeminie sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznotrwały".

Umysł i dusza młodego człowieka są niezmiernie delikatne a zwłaszcza, gdy zacznie już trochę myśleć i widzieć... Każdy wtedy widok, czy każde usłyszane słowo wywierają na nim odpowiedni wpływ, który długo, długo w duszy człowieka pozostaje.

I tu kobieta ma olbrzymie pole do popisu. Nieraz nie odczuwa ona tego sama, jak ważną rolę odgrywa w życiu społeczeństwa. Kobieta-matka, obcując niemal dzień cały z przyszłym obywatelem państwa, mimowoli nieraz urabia go bądź na pożytecznego członka tegoż społeczeństwa, bądź też na szkodnika, którego później trzeba będzie zwalczać wszelkimi sposobami. Dziecko to najlepszy obserwator na całym świecie; ono uważa na każdy ruch starszych, podchwytuje każde ich słowo, stara się ich od pierwszych chwil życia naśladować. I dobrze jest, jeżeli ma godne do naśladowania przykłady, ale jakże smutną jest rzeczą, gdy zmuszone jest do naśladowania przykładów złych, które deprawują jego duszę i wypaczają charakter.

Jak zaznaczyliśmy, matka ma tu ogromne pole do popisu, nie powinna więc urobienia charakteru swojego dziecięcia pozostawiać przypadkowi, ale wobec dziecka winna czynić i mówić tylko to, co na to dziecię może w przyszłości odziałać korzystnie.

Jednem słowem najpierwszą i niemal decydującą o całem życiu człowieka szkołą jest rodzina, a główną nauczycielką i kierowniczką tej szkoły jest kobieta-matka. Ojciec idzie do pracy niemal od rana do nocy, z dziećmi zaś pozostaje matka. Bóg i społeczeństwo jej powierzyło najpiękniejszą, najważniejszą i najzaszczytniejszą funkcję — urobienia i wychowania młodych pokoleń.

I to jest, zdaniem mojem, celem życia i zadaniem kobiety. *Władysław Navarra.*

Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

— Tak, matuś!

— Czy to ty jeden miłujesz, a przecz się znajduje rada!...

Jerzyk powstał i rzekł:

— Ja, matuś, miłuję Halszkę Jaszczołdównę!...

Na te słowa stara porwała się z ławy, wyprostowała się, zbladła i trząść się zaczęła, jakby ją zimnica nawiedziła. A Jerzyk powtórzył, jakby senny był, czy obłąkany:

— Ja, matuś, miłuję Halszkę Jaszczołdównę!...

— Nie, nie, nie!... jakimś szeptem rozpacznym zawołała Swińczańska. Miłuj wszystkich, tylko nie ją, Jerzyk!... wszystkich, tylko — nie ją!... Ty nie wiesz sam, co mówisz! ty nie wiesz sam!...

— Wiem, matuś... i — i — zniewolę ją ku sobie!...

Stara za włosy się chwyciła.

W tej chwili szmer dziwny dał się słyszeć zewnątrz domostwa, jakby ktoś szedł i okiennice próbował, o ściany się opierał, za uszaki się chwytał...

— Co to? — odezwał się Jerzyk, nasłuchując...

— Wiatr!...

— Nie, matuś, wiatr tak nie chodzi.

Szelest wzdłuż ściany szedł, o skrzydła okiennic drugiego okna się otarł, do sieni się zbliżał...

Jerzyk skoczył za próg, a matka za nim.

— To wy? to wy?... Co wam? — zawołał.

Słaniając się, opierając o ściany domostwa, szła Halszka. Jerzyk podbiegł, ręce wyciągnął, a ona pochyliła mu się na pierś. Zamroczyło się w oczach chłopięcia, nie rozumiał nic, nic nie widział, czuł tylko, że na sercu jego, jego kochanie spoczęło. Przygarnął, przycisnął do piersi, pochylił się i w bezpamiętnym pocałunku w usta dziewczyny się wpił. W tem posłyszał za sobą krzyk matki:

— Jerzyk!... krew koło ciebie!...

Oprzytomniał... i wtedy uczuł, że ciało dziewczęcia ociężało mu w ramionach. Na oczy spojrzał — zgasły; na twarz — była marmurowo-blada; na pierś — okropną, krwawą raną świeciła...

— Matuś- ona umarła; — krzyknął.

Zwiędłe wargi Świszczańskiej drżeć poczęły, pomogła synowi unieść ociężałe ciało Halszki i na pościeli złożyć. Wyglądała jak kwiat umarły, jak gołąbka zabita. Jerzyk nieprzytomny był, nie rozumiał nic, co matka mówiła, czy mówiła co nawet. A stara rozdarła szatkę — białą pierś Halszki oblała krew...

— Wody! — krzyknęła.

Jerzyk do źródła skoczył, a zęby mu dzwoniły przerażeniem, a serce rytmem nierównym biło...

— A teraz ostaw mnie z nią — wołała Świczańska — sam do zamku śpiesz, niech medyk przybędzie, niech wóz naładowany pościelą przybędzie!...

Jerzyk nie zdawał sobie sprawy z rozporządzeń matczynych, lecz wszystko spełnił według jej rozkazania. Z zapartym oddechem w piersi, z przerażeniem w sercu na zamek skoczył.

Właśnie we wrota wjeżdżała karoca hetmańska w otoczeniu jezdnych i służby. Cała rodzina Żółkiewskich wybiegła przed dom, gdy na dziedziniec wpadł Jerzyk, blady, z obłąkanemi oczyma.

— Halszka zabita!... — krzyknął.

Oniemieli wszyscy, jakby grom nagły runął. — Zmięszały się głosy, pytania, nikt jednak nie zdawał sobie sprawy z tylko co uchwyconej, a tak okropnej wieści. Jeno Plichta zatoczył się, aż go musiał pan Szymon podtrzymać; a pierwszy, głośny płacz, który wybuchnął, był płaczem Marychny.

— Co to się stało?... o Jezu! — plątały się głosy.

— Gdzie ona jest? gdzie?...

— Tam... u nas... matuś przy niej! — wyszeptał Jerzyk.

— Konia! — huknął hetman.

W towarzystwie Plichty, Szymona, Kurzańskiego i Bekasa, wypadł pędem z bramy zamkowej ku chacie Świnczańskiej. Teraz oprzytomniała hetmanowa, skoczyła z córkami do kolasy mężowskiej, wpierw rozkaz wydawszy, by wóz miękko wymoszczony w ślad za nimi podążył.

Halszka leżała na łożu, z omdlenia ocucona, łzy spływały z jej oczu, jęczała i kwiliła jak dziecko. Nie leki Świczańskiej pomogły, lecz rana groźną nie była. Może się nóż ośliznął, może ręka niewprawna cios słaby wymierzyła, lecz choć pierś Halszki była w podłuż rozpruta, żadne jej nie groziło niebezpieczeństwo. Głęboki tylko czuła ból, więc skomliła boleśnie, ale gdy hetman wszedł, a za nim wszyscy mieszkańcy zamku, uśmiechnęła się do nich przez łzy; a kiedy do łoża Plichta przypadł — zerwała się i usiadła, na ból niepamiętna, nie wierząc oczom, przed któremi stanął — nie wierząc słowom, które do niej dobiegły:

— Otóżem w czas przybył, poganin, potępieniec... Miłosierdzia! miłosierdzia, najmilejsza ty moja!...

— To wy! to wy! Żyw, zdrów, pamiętający o mnie — i słowa Halszki w łzach utonęły... A Plichta na oba kolana runął i drżące, wyciągnięte ku niemu ręce dziewczyny jął pocałunkami okrywać....

Coś jękło... to Jerzyk za pierś się chwycił... A Plichta szeptał w upojeniu:

— Miłujesz-że mnie, pogańskiego syna? jeszcze miłujesz?...

— Do ostatniego tchu w piersi... do ostatniego tchu!.... — szepnęła Halszka.

— Matuś, ściany się kręcą!... — jęknął Jerzyk.

— Panno Częstochowska, co z tobą? — zawołała Świszczańska — a on we drzwi runął, lecz go nie puściła Sonka.

— Nie zatrzymuj mnie, matuś, nie zatrzymuj!...

— Dokąd ty iść chcesz, synku, dokąd?...

— Nie pytaj... pomódl się jeno za duszę moją!...

Teraz zrozumieli wszyscy Jerzyka, a Halszka pobladła.

Rwał się, ale matka na szyi mu zawisła — i musiał zostać.

— Słuchaj, synku, co ci powiem — błagała. — Słuchaj! a nikt ci już nie wzbroni Halszki miłować.

Jerzyk wpatrzył się w matkę, a ona drżąca, blada, schylona, jakby pod brzemieniem jakiemś, pochyliła się do nóg hetmana i urywanym głosem mówiła:

— Czas wszystko powiedzieć, czas z wielkiego grzechu się wyspowiadać, a choćby starosta głowę moją katowi dał, prawdę powiem, jaśnie wielmożny hetmanie, tak mi Panie Boże dopomóż i wy wszyscy Święci Pańscy!...

Podniosła się z klęczek i do Jerzyka się zwracając, rzekła:

— Ty... ty... nie mój syn!...

Zdziwienie ogarnęło wszystkich, Jerzyk pobladł, oczy rozszerzył, a ona mówiła tak dalej:

— Ty... Jerzy Jaszczołd, szlachcic — brat Halszki!...

Jerzykowi w piersi dech się zaparł, Halszka porwała się z pościeli, wsparta na Plichty ramieniu,

Jasinowski drgnął, Suproniczówna zamieniła się w słup soli.

— Pamiętasz, jaśnie wielmożny hetmanie — ciągnęła Świszczańska — jak lat dwadzieścia temu odbiłeś jeńców tatarskich nad Prutem. Trzydzieści tysięcy ludu było, a dzieci jak maku. Poznawali i niepoznawali rodzice, kto chciał to brał niemowlęta, chłop nie chłop, szlachcic nie szlachcic. I ja wzięłam pisklątko jedno i ukochałam niby swoje, jakbym je pod własnem sercem nosiła. Minęło lat pięć, przyszedł do Rzeszowa Tatar jakiś z jeńców twych dawnych, dał mi puzderko małe i rzekł: „Stara! wiesz czyj to syn?" — „A co mi?" — odpowiedziałam. — A on: — „Ja go uniosłem z dworu Jagodynieckiego i ot to pudło wziąłem, myśląc, że złoto w niem jest. Nie złoto, jeno papiery jakieś... Może to tego chłopca — weź!" Tak rzekł i poszedł na Krym. Ja do papierów: mentryka Jerzyka i dokumenty inne... — Wiem, że szalał na Jagodyńcach pan, że płacz był tam a zgrzytanie zębów... Miałam-że go oddać?... — A miłość moja, a trud, a staranie a to coś, co mnie do niego przywiązało — na śmierć?... Chciałam spalić te papiery przeklęte, ale nie spaliłam... A ja wiem czemu? Lecz dziecka nie mogłam oddać — nie mogłam! Wychowałam, z głodu i nędzy marłam, ale oddać — nie mogłam!... Oto wina moja, grzech ciężki — i pokuta!... Ty Jerzyk brat Halszki... Jaszczołdów syn!...

— Jerzyk, Jerzyk! — zawołała Halszka.

I Jerzyk podbiegł do niej, na klęczki upadł, w jej dłoniach ukrył twarz i w głośny płacz wybuchnął.

Przypomniał teraz hetman tę chwilę odbicia tatarskiego taboru, napad na Jagodyńce, rozpacz starego Jaszczołda. Moc dzieci nie poznanych rozdano szlachcie i nie szlachcie, a zwyczajna to była rzecz w czasach onych. Teraz, gdy się tajemnica odkryła, gdy porównano Halszkę z pacholęciem — a toż te same oczy, usta, spojrzenie, uśmiech i cała twarz ta sama!... Teraz Halszka obsypywała go pocałunkami odnalezionego braciszka, który, jak senny, pieszczotom się tym poddawał, a oddychał ciężko, jakby coś rozważał, rozmyślał. A Bekas zwrócił się do Kurzańskiego i rzekł:

— Nie mówił-żem asanu, że szlachcicem być musi? Pamiętasz, jak pachołków, w pogoń za sobą wysłanych, zrąbał uczciwie? jak moje cięcie ułapił? jak mi sztorcem stanął i zęby wyszczerzył?... Mówiłem, że szlachcic i — szlachcic.

Jerzyk powstał, powiódł oczyma dookoła i rzekł:

— Więcem Jaszczołd!... ale ty, matuś, zostaniesz dla mnie zawsze tem, czem byłaś...

I przypadł do nóg Świszczańskiej z płaczem ogromnym.

Rozrzewnili się wszyscy, a Halszce ciurkiem łzy z oczu biegły.

Po chwili hetmanowa z Halszką i córkami na zamek odjechała, a hetman, Plichta, Szymon i Kurzański na dwór wyszli, rozmawiając o zbrodni zagadkowej. Jerzyk opowiedział, jak Halszkę ujrzał do ściany przypartą... I dostrzegli plamy krwiste na belkach, tam, gdzie dłońmi lub piersią okrwawioną oparła się. Ślady krwi i na ścieżynie znać było — one ich doprowadziły do miejsca zbrodni.

Na zakręcie drogi dostrzegli dużą, krwawą kałużę — tu napad musiał być dokonany. Księżyc pełne światło rzucał i orjentować się pozwalał. Nagle coś błysnęło na ziemi... Plichta nachylił się i podniósł przedmiot błyszczący.

— Nóż! — rzekł — jeszcze broczy.

Do oczu zbliżył i zadrżał.

Był to sztylet wenecki, tak mu dobrze znany; tyle razy widziany w kruczych warkoczach Admy.

Bladość twarzy rycerza zwróciła uwagę wszystkich.

— Co waści? — spytał Żółkiewski.

— Nic, nic... jaśnie wielmożny hetmanie. Jedno tylko powiem, że padłbym, gdybym nie był żołnierzem miłości waszej.

A oto do słuchu ich jęk doszedł, cichy, głęboki i bardzo daleki. Zwrócili się w stronę jęku tego i biegli prawie.

— Stójcie! — zawołał nagle Plichta — przepaść!

Spojrzeli w dół — na granitach widniała jakaś postać ludzka. Plichta zbiegł szybko i przypadł do wijącego się ciała.

Na głazach, z piersią straszliwie rozbitą, leżała Adme. Bujne, piękne warkocze walały się we krwi, biedna pierś zaledwie jęczeć mogła, ostatnie tchnienie wydając.

— Adme! — wyszeptaał Plichta.

Na dźwięk głosu tego otworzyła zbielałe oczy, coraz szerzej, szerzej, szerzej...

Poznała.

— Przebacz... Kostek!... — zaledwie dosłyszanym wyszeptała głosem. — To przez miłość... mi...łość...

Przyszła śmierć, zawarła usta, na bladych powiekach usiadła, ukołysała serce, zgasiła ogień krwi.

Zawiadomiony o strasznym wypadku Mitras, z pierwszym brzaskiem świtu do Żółkwi przyleciał. Nie jęczał, nie płakał, nie mówił nic... bratem mu mógłby być głaz grobowy, który na samotnej mogile Admy, za ogrodzeniem cmentarza w Żółkwi spoczął. Dzisiaj szczątki tylko głazu świecą w tem miejscu, ziemia ugięła się i zapadła, nikt o tej mogile nie wie, jeno wiatr lekki, poruszający rosnącemi tam ziołami, szepnął poecie, że to jest grób Admy Mitrasównej.

XVI.

Po wyppadku, który na chwilę zamącił ciche życie mieszkańców zamku, uspokojenie wróciło. Rozgrzmiał się sąd nad Żółkiewskim i echa żadnego nie pozostawił po sobie; mściwy zamach na życie Halszki bezsilny się okazał; w sercu zaś Jerzyka, choć nie wygasła miłość dla ukochanej dziewczyny, choć zrazu jak nieprzytomny chodził, lecz do rycerskiego koła przyjęty, dumny był ze stanowiska nowego i jeno czekał wojny, wojny i wojny, by dowieść mógł czynami, iż prawym jest Jaszczołdów potomkiem. Plichta teraz nie odstępował Halszki — i miłowanie ich rosło z dniem każdym, z wielkiem niezadowoleniem pana Symforjana, którego już opiekuństwo na nic się nie zdało. Ostał i pan Szymon na zamku Żółkiewskim, gdzie przybycia „ptaszeczków" swoich czekał; Bekas gębę ze zdziwienia otwierał, gdy Łupiskóra wziąwszy na kark wołu, na ziemię go powalił. Tosieńka zrazu uciekała przed nim, ale później na grzbiet mu wyłaziła sama, mówiąc, że „na dlomadeze jeździ". Kopycińskiemu szczególnie się Marychna podobała, której dniami całymi o Andzi opowiadał, i jako to dziaduś jego śliczne to swoje nazwisko zatracił. Między Halszką a Plichtą zrękowiny się odbyły; ale ślub odłożono do powrotu z wyprawy tureckiej, bo nie czas było rycerzom o godach małżeńskich myśleć, gdy Polska się zbroiła, pułki i regimenty panów koronnych ściągały się na zamek żółkiewski, a wszystko wrzało gwarem wojennym i przygotowaniami do walnej rozprawy z nieprzyjacielem krzyża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jesienna orka wieśniaka w polu.



Niema przyjemniejszego zawodu nad zawód rolnika, ale nie tego bogacza, który żyje i tuczy się ciężkim znojem swojego bliźniego, ale takiego, który sam dla siebie i dla swej rodziny pracuje. Praca to, choć ciężka, ale najprzyjemniejsza, bo rolnik widzi owoce swych mozołów i może cieszyć się nimi niemal codziennie.

Zaledwie zasiał zboże na zagonie, a tu już za kilka dni pokrywa się karminową czerwienią wyrastających z ziemi kiełków, przybierając z czasem barwę zieloną, póki ich śnieg nie ubieli i nie pokryje ciepłym całunem.

Ale gdy tylko ciepłe promienie wiosenne rozsnują się po polach, niknie całun, okrywający zboża, łany zazielenieją się na nowo i gdybyś młode roślinki chciał mierzyć metrem, widziałbyś, że z dniem każdym jakaś odrobinka ich przybywa. Widzi to rolnik i cieszy się, że trud jego i znój nie poszedł na marne.

Z dniem każdym roślinka pnie się coraz wyżej ku górze, wypuszcza kłosy, które okrywają się skromnem kwieciem, a gdy to zniknie, łany złocą się bujną pszeniczką lub srebrzą chlebodajnem żytem.

Mijają żniwa i znów następuje siejba, i dlatego jeszcze dla rolnika przyjemna, gdyż wie on, że gdyby nawet Bóg nie dozwolił mu dożyć następnych zbiorów, to uskuteczni je za niego syn jego, a i gdy i ten kiedyś zemrze, to na tej jego ukochanej ziemi będą płużyć i życie z niej ciągnąć jego następcy, o których on dzisiaj ani bladego pojęcia nie ma.

Poświęcenie.

W XVIII wieku na drugiej półkuli toczyła się krwawa, zacięta i długa wojna. Obie strony, przygotowane świetnie do walki, próbowały jedna drugą w morderczych zapasach zdusić. Nieustanna kanonada wstrząsała podwalinami świata. Po nieboskłonie latały pociski, latały niby błyskawice, pękające i rozpryskujące się szrapnele. Morze krwi ludzkiej się lało, stosy trupów zasłały żyzną amerykańską ziemię. Nikt nie był pewny swego losu, swego życia. Codziennie tysiące ludzi, przeważnie kobiet, dzieci i starców uciekało ze swoim dobytkiem, ze swojem mieniem w nieznane odległe strony, których srogi los pozbawił dachu nad głową. Nigdzie nic nie było słychać, jak tylko grzmot dział, jęki rannych i zabijanych, albo płacz i narzekanie biednych uciekinierów. Teatr wojny przedstawiał straszny widok. Wszędzie tylko ruiny i zgliszcza. Tam, gdzie przed chwilą kołysały się złociste łany zbóż, kwitło życie, dziś pustynia. Tam ptak nie śpiewa, tam napróżno szukalibyśmy żywej istoty.

A wojna nie ustawała, ale srożyła się coraz bardziej. Śmierć wyciągała swe kościste ramiona po nowe ofiary. Tysiące matek, wdów i sierót opłakiwało śmierć swych synów, mężów i ojców, a krwawej rzezi nie było końca.

Zdala od zgiełku toczonej wojny, mieszkał farmer, ojciec licznej rodziny. Farma doskonale prowadzona i uprawiana, zapewniała mu co roku duże dochody. Ludzie ci nie wiedzieli, co to jest nędza, co głód. Żyli dostatnio, ale uczciwie i szczęśliwie, jak w niebie.

Ale pewnego dnia to ciche szczęście rodzinne zostało zgruchotane. Bogaty farmer otrzymał jak tylu innych wezwanie do wojska. Gdyby był grom z jasnego nieba w ich domostwo uderzył, mniejsze wywarłoby to na nich wrażenie, jak ta okropna wieść. Żona i dzieci uderzyły w ogromny płacz i lament. Ojciec-żywiciel miał iść na wojnę i dzielić los okrutny tylu tysięcy niewinnych ludzi. W cichej zagrodzie farmera rozgrywała się smutna i rozpaczliwa tragedja rodzinna. Ile takich tragedyj rozegrało się wówczas na amerykańskiej ziemi, ile takich tragedyj rozegrało się podczas wielkiej światowej wojny. Ale czas wszystko koi, czas wszystko leczy.

Kiedy już miała nastąpić rozdzierająca scena pożegnania, do chaty farmera wszedł, niby anioł pokoju, ze słowami pociechy na ustach dla tej nieszczęśliwej rodziny, jakiś obcy człowiek. Sześćdziesiąt lat może liczył, ale jeszcze czerstwo i zdrowo wyglądał. Przekroczywszy próg chaty, w te odezwał się słowa:

— Widzę po waszych twarzach, że was jakieś wielkie dotknęło nieszczęście, ale w czasach, kiedy szaleje okropna wojna, nie trudno się go domyśleć. Wiem, że wasz ojciec musi opuścić ten dom, porzucić wszystko i iść nastawiać swą pierś na wraże kule. Ale ja przyszedłem poświęcić się za was. Nie mam żony, ani dzieci, jestem kawalerem. Od dawnych lat tułam się po świecie za zarobkiem, za kawałkiem chleba, który znajduję u dobrych ludzi, nie mam nic do stracenia.

Na te słowa wszyscy skamienieli, uszom własnym wierzyć nie chcieli. Rzecz wyglądała tak, jak we śnie. Ale to nie był sen, to była piękna, szlachetna rzeczywistość. Poszedł za farmera na wojnę ów obcy człowiek, by poświęcić się za obcych, nieznanych mu ludzi.

Wojna toczyła się dalej... Rodzina farmera chwytała skwapliwie wieści nadchodzące z placu boju, —

chciała się coś dowiedzieć o losach swego wybawiciela. Ale jakież inne wieści mogą nadejść z miejsca okropnej ludzkiej rzezi, jak tylko smutne i tragiczne. Ów obcy człowiek w jednej z krwawych bitew, ciężko ranny, zmarł w jednym z polowych szpitali. Gorzko zapłakała rodzina farmera, na tę smutną wieść, bo losy tego człowieka porównywała z losami swego ojca. Los tego człowieka dzieliłby zapewne ich ojciec, gdyby był poszedł na wojnę.

Farmer sprowadził jego ciało do swej rodzinnej wioski i uczcił skromnym pogrzebem. Na cichym wiejskim cmentarzu pod brzozą płaczącą spoczęło jego ciało. Na grobie postawiono skromny pomnik, a na nim wyryto piękny i wymowny napis: „On za nas umarł“. Grób ten otoczyła rodzina farmera troskliwą opieką. Zawsze, a szczególnie w dniu święta umarłych, zbierali się wszyscy i zanosili gorące modły przed tron Boga za duszę swego drugiego ojca, który życie oddał za nich. W czasach ciężkich i niebezpiecznych zdarzyła się ta niecodzienna historja poświęcenia na amerykańskiej ziemi.

Kawczak Franciszek.

Ciekawy dojazd do latarni morskiej.

Temu, kto nie podróżował po morzu, może się zdawać, że gdy okręt znajduje się w pobliżu brzegu, to mu już żadne niebezpieczeństwo nie grozi. A tymczasem tak nie jest, gdyż tu właśnie dla niego znajduje się najwięcej zasadzek. W pobliżu brzegów morskich jest bowiem poukrywanych pod wodą wiele skał, ponad któremi unosi się tylko nieraz lekko sfalowana powierzchnia wód. Ponad tymi skałami może łatwo przepłynąć niewielka łódź rybacka, a nawet ponad niektórymi i mniejszy statek, ale gdyby na nie wpłynął wielki okręt, roztrzaska dno swoje na ich ostrych wystałościach.



W innem miejscu skał podwodnych niema, ale natomiast na dnie morza nagromadziło się tyle piasku i namułu, naniesionych przez wody rzeczne, że dno to znajduje się niemal tuż pod powierzchnią wody. Żeglarz, choćby najlepszy, zdaleka tego nie zobaczy, lecz kiedy okręt wjedzie już na te mielizny, wówczas jest zapóźno.

To są dwa niebezpieczeństwa, na które okręty przy brzegach lądów są narażone. Oczywiście, gdy okręt najedzie na skałę i dno jego zostanie przedziurawione, jest on po największej części stracony. Woda wdziera się wszystkimi szczelinami pod pokład okrętu, zalewa wszystkie wolne miejsca, a okręt stając się coraz cięższy, zanurza się coraz bardziej w wodę, aż wreszcie tonie zupełnie. Oczywiście nim to nastąpi, tak załoga okrętu, jak i jego podróżni, corychlej umykają na łódkach do brzegu, aby uniknąć strasznej śmierci w nurtach.

Gdy okręt osiędzie na mieliźnie, niebezpieczeństwo tak dla niego, jak i dla ludzi jest mniejsze. Ludziom właściwie nie zagraża nic, gdyż mogą swobodnie łódkami dopłynąć do brzegu, ale los okrętu niewesoły. Musi on czekać cudzej pomocy, to jest musi czekać na jakiś holownik, któryby go z tego nieprzyjemnego położenia oswobodził. Jeżeli się to zdarzy gdzieś w pobliżu jakiegoś większego portu, to ocalenie może przyjść szybko, ale gdy nastąpi w krainach niezamieszkałych, załoga okrętowa na pomoc taką musi czekać długo. Zdarza się czasami, że sam przypływ morza wybawi taki okręt z trudnego położenia, zwłaszcza, gdy niezbyt głęboko zarył się w mieliznę, ale czy tak, czy tak, sytuacja dla załogi i podróżnych jest wcale niewesoła.

Aby tak od jednego, jak i drugiego nieszczęścia okręty ochronić, w niebezpiecznych miejscach na brzegach mórz poustawiano tak zwane latarnie morskie. Szczyt takiej latarni widzimy na naszym obrazku po prawej stronie.

Latarnia morska jest to wieża wysoka, na której wierzchołku świeci się światło naftowe, gazowe, lub w nowszych czasach i przy większych środowiskach ludzkich najczęściej elektryczne, ustawione bądź w miejscach niebezpiecznych dla okrętów, bądź w portach, gdzie wskazuje drogę do przystani. Światło latarni morskiej jest najczęściej tak urządzone, że chwilowo przygasa i znowu świeci, albo kilka razy na minutę błyska, a to w tym celu, ażeby okręt ze znacznej odległości w nocy miał pewność, że światło to pochodzi właśnie od latarni morskiej. Są latarnie morskie, których światło jest widoczne nawet na piętnaście mil.

Latarnia morska stoi przeważnie na brzegu morskim, albo czasem na jakimś cyplu, w głąb morza wysuniętym, aby z jak najdalsza mogła być widoczna. Szczególniej w tym wypadku, gdy jest zdala od lądu, może być większym przypływem wody od niego oddzielona. Może się również zdarzyć, że wówczas światło w niej z jakiegokolwiek powodu zagaśnie. Trzeba się więc koniecznie do niej dostać. — A w jaki sposób się to dzieje, widzimy na naszym obrazku. Oto od skały nadbrzeżnej idą silne żelazne liny aż do umocnienia, ustawionego obok latarni; drugie zaś końce lin są umocowane do jakiegoś innego stałego i silnego przedmiotu. Po tych linach zjeżdża właśnie w specjalnie zrobionym „ekwipażu“ kilku marynarzy, którzy mają dokonać w latarni morskiej potrzebnych uzupełnień



MACIEK BZDURA GADA:

Rozeźliła sie na mnie jedna cytelnicka mojżesowego wyznania o to, zem zdradził w „Roli“ tajemnicę, z cego są żydy stworzone. Pozieleniała cała ze złości, miała nos zielony, wargi zielone, ręce zielone, pońcochy zielone i w głowie zielono. Choć co prawda, to ni miała o co, bo po pirse ja tam przy stworzeniu żydów przez djabła nie byłem, więc nie wiem, jak i co było, a po drugie, ja se tego sam nie zmyśliłem, ale opisał to rosyjski gazyciarz, który pewnie także przez djabła na utrapienie żydów był stworzony, a opowiadanie jego powtórzył nas prefesur, aby ludzie wiedzieli, jak, co i dlacego tak było. Jeźli więc miała prawo rozwścieklić, to powinna była całą swoją zieloną żółć wylać abo na owego Moskala, abo na nasego prefesura, a nie na mnie.

Pise mi owa z Zielonej Wólki panienka, ze ona jest juz od paru roków zeniata i to, jak stwierdziła najdokumentniej, z prawdziusieńkim zydem, więc wie z całą pewnością, ze on ma ino jeden grzych główny, a nie siedm, i to jesce byle jaki. Skądze więc jakiś tam ktosik skądsik moze wszyćkich zydów posądzać o wszyćkie siedm grzychów głównych.

Nie wiem, jak tam jest z tem mężatem, cy pejsatem zydem owej panienki, bo go nie znam i jesce go nigdy nie badałem. Ale moze i ona ma słusność, bo może tak być, że jeden zyd był stworzony przez djabła z jednego grzychu głównego, drugi z drugiego, a trzeci z trzeciego i tak dalej, albo może był zrobiony ze wszyćkich, ino u niektórych tamte reśta pochowały się pod jupicą, a ino jeden od casu do casu wyłazi na wirzch. Moze być tak i tak, a jak jest, to ja tam nie wiem, bom tego jesce nie badał. A mozeby tak owa panienka tego swojego siajgieca przed jaką konwisyje przyprowadziła, toby oni tam najlepiej spenetrowali, jak i co jest.

Zreśtą co ją tam moze obchodzić jakisik siajgiec z korkociągami? Przecie ona z nim w kościele chrześcijańskim ślubu nie brała, a wszelkie insze małżeństwo, to żadne małżeństwo. Taka ona jego baba, jak Kaśka moja.

A choćby i nie to, to ten rosyjski bazgrała gadał ino o zydach, a o zydówkach ani nie pisnął. Zreśtą choćby był pisnął, to jabym jego piskania dalej w gazyty nie puścił, bo przecie wiem, ze co zyd, to nie zydówka. Zydówecki piciebują bicz fajne kobitki. — Z nich zadna ni ma ani jednego grzychu głównego, a nie dopiro siedmiu. Ni ma pychy, bo i z cegoze się ma pyśnić? Chyba nie z tego, ze jest zydówką, a nie krześcijanką, ni ma obzarstswa, bo cosnek z cebulem wystarcy jej na cały dzień, nie będzie nic nikomu zazdrościła, bo jak się jej co cudzego uwidzi, to juz od tego jest jej siajgiec, aby jej dostarcył tego, cego zapragnie, nie będzie grzysyła niecystością, bo jak mi sie widzi, ino coś cyściuśkiego moze sie niecystością powalać, nie będzie się leniwiła, bo lenistwo to przecie nie zaden gieszeft, a bez gieszeftu zadna zydówecka, choćby najzieleńsa, palcem w nosie nie kiwnie. Tak jak tedy mam urocyste i najjaśniejse przekonanie, ze zadna zydówecka ani najmniejsego grzychu głównego nie posiada.

Co tam ludzie o tem gadają, to wierutne bajki. Przecie wiadomo, ze ozory ludzkie potrafią nawet na takiego człowieka niewinność rzucić, który się jesce nie urodził. A ze tak jest, to mozna się o tem przekonać u nas w Psiej Wólce. Jagnisce Powaliny gdziesik koło Zadusków ma sie urodzić brzdąc. Jak się dopiro ma urodzić, to wiadomo, ze się jesce nie urodził, a juz kumoski psiwólcańskie bajdę o nim puściły. Po pirse powiadają, ze gwiazdy na niebie i liście na drzewach i wszyćkie inse okolicności na to wskazują, ze to będzie chłopak. To jedna bujda, a druga, ze to będzie chłopak organistów. Jedno i drugie bujda, bo nie musi być chłopak, ale moze być i dziewcyna, jako ze nikt dotąd nie zaglądał, co będzie, a przecie cyj on będzie, to chyba wie o tem dobrze tak Powalina, jak i pan organista, a oboje się sumitują, ze to nie będzie organistowe. Stary Powała takze nie jest pewny; powiada, ze ojcem jego dziecka moze być tak dobrze pan organista, jak i kuzden inny dorosły Psiwólcanin

Ale języki babskie wszystko wiedzą, podcas gdy w wielu wypadkach ojciec i rodzona matka nie wiedzą dokumentnie, kto jest ojcem ich dziecka. Tak było i ze mną. Pytali się wsyscy mojej niebioski matsi, która w dziewicości na tamten świat posła, kto jest mojem ojcem, a matsia odpowiadali: Zebym ja to wiedziała, tobym była taka mądra, jak sam król Salamon. I wiem, ze nie wiedzieli, bo jakby byli wiedzieli, toby mi byli na chrzcie świętym dali tatusiowe przezwisko, a tak musę nosić ich panieńskie po wieki wieków Amen.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Lacroma.

W południowych krajach jest jedna godzina, w której dzień żarem zionie, a cień mały i pokorny przypada do nóg, jak pies na głód ludzki posłuszny; kiedy człowiek niemieje, a zwierzęta milkną; kiedy



Krużganek klasztorny w Lacromie.

wszystko, co żyje, szuka ochłody i chroni się w gąszcza a bodaj pod mury przed skwarem i rażącymi promieniami słonecznymi; kiedy ziemia zda się dyszeć, a może usypiać i tylko zioła i kwiaty tchną spotęgowanym zapachem. Jest to godzina południowa.

W taką godzinę wielu mieszkańców nadbrzeżnych okolic Jugosławji wyjeżdża na niewielką wyspę, Lacromę. Od strony miasta i portu przedstawia ona się jako lesisty pagórek, uwieńczony fortem, natomiast od wschodu ciągnie się ogród istotnie cudnych rozkoszy, w którym człowiek czuje się jeszcze królem stworzenia. Palmy, platany, pinie, cyprysy, pomarańczowe drzewa, okryte kwieciem i dojrzewającym złotym owocem, tudzież inne rozliczne drzewa i krzewy liśćmi biorą się za ręce, jakby stawały do tańca.





Typy mieszkańców Hercegowiny.

Z tej gęstwy prowadzą żywopłoty i morskim piaskiem wysypane ścieżki do zamku-klasztoru, cichego, poważnego i wspaniałego równie jak oprawa roślinna, w którą ów architektoniczny klejnot ujęto. Wśród wzorzystych dywanów kwiatowych, bukszpanowych rabatów i strzyżonych szpalerów panuje niczem niezamącona cisza. Zamek i ogród śpią snem zaczarowanej królewny. Dalej urywają się drożki, dziczeje przyroda; po wrzosach i omszałych kamieniach dochodzi się nad brzeg morski, gdzie fale biją o krawędzie oślizgłych głazów i gdzie poczyna się szafirowa, bezkresna, słonecznym blaskiem rozjaśniona roztocz Adrjatyku.

Co krok wśród małego obszaru nowe otwierają się widoki na skały, na źródła i coraz to odmienne drzew gatunki, na niedobitki palmowych zagajeń, na głogi i rosnące rozłożyście a samotnie kasztany. Roślinność jest tam wprost cudowna, ale brak ptactwa i zwierząt czworonożnych, co ciszę wyspy jeszcze bardziej powiększa.

Na rafach podwodnych w pobliżu Lacromy rozbił się statek wiozący Ryszarda Lwie Serce do Ziemi św. Dziękując Bogu za ocalenie, ślubował władca Anglji i Normandji założenie w owem dzikiem podówczas ustroniu klasztoru Benedyktynów. Ślubu dotrzymał i wybudował im na Lacromie wspaniały klasztor. Po wiekach jednak zostali oni wyzuci z swej własności, a ta przechodziła z rąk do rąk drogą kupna, aż stała si ęwłasnością Habsburgów. Ostatnimi jej właścicielami byli arcyksiążę Maksymiljan, późniejszy cesarz meksykański i arcyksiążę Rudolf, syn cesarza Franciszka Józefa I. Ostatnią mieszkanką komnat zamkowych, przerobionych z cel klasztornych, była już po śmierci jedynaka cesarzowa Elżbieta. Obecnie mieszkają tam OO. Dominikanie, którzy sprowadzili się tam przed wojną na rozkaz cesarza Franciszka Józefa I.

Łatwo Lacromę zwiedzić, lecz opuścić ją trudniej, najtrudniej pożegnać się z nią na zawsze.

Przyglądając się podobiźnie krużganku klasztornego w Lacromie na naszym obrazku, odczuwa się ten spokój i ciszę, jakie panują na tej uroczej wyspie.

Mówiąc o pięknych krajobrazach, o cudownej roślinności omawianych krajów, trudno nie wspomnieć o ich mieszkańcach. Dlatego też w dzisiejszym numerze podajemy podobizny dwojga Serbów, mieszkańców Hercegowiny. — Jak widzimy, strój mężczyzny jest wygodny tak do życia w równinach, jak i w górach. Spodnie krótkie, obcisłe, nie dochodzą do kostek, na nogach zaś łapcie ułatwiają wspinanie się po górach tamtejszych. Ciężka czapa na głowie nie poddaje się wiatrom, jakie tam dość często panują. Natomist strój kobiecy jest mniej wygodny. Dolne jej okrycie to połączenie spodni ze spodnicą. Niby to spodnica, ale przedzielona na dwie nogawice, co upodabnia ją również do spodni. Poruszanie się w tym stroju nie należy do najwygodniejszych. Tak samo okrycie gło-

wy, ciężkie i nieestetyczne, ułatwia gnieżdżenie się pasożytom w bujnych czarnych włosach. Natomiast twarze czynią miłe wrażenie, świadcząc o przystojności tamtejszych mieszkańców.

(Ciąg dalszy nastąpi).

REC.

Dzwon na Anioł Pański.

Nowela.

Drążek mało sobie cenił to pierwsze, większą natomiast wagę przykładał do drugiego. Naturalnie, że nie zdradzał się z tem przed nikim.

Czas szybko umykał, ani się oglądnęli, kiedy święta Bożego Narodzenia były już za pasem. We wilję wyczekiwali wszyscy Hanki, lecz jakoś nie przychodziła.

— Pewnie majo dużo roboty i nie puścili ji do dom — tłumaczyła sobie Drążkowa jej nieobecność.

Markotno im było, lecz musieli się z tem pogodzić. Zasiedli więc bez niej do wigilijnego stołu.



Drzwi skrzypnęły i do izby weszła ośnieżona Hanka.

Drążek, nastrojony poważnie, rozdzielił opłatki pomiędzy obecnych i przełamał się z żoną, Brożkową i dziećmi. Życzyli sobie nawzajem „szczęścia, zdrowia, fortony, a po śmierci niebieski korony".

Dzieci ucałowały ręce starszych i w oczekiwaniu na potrawy ustawiły się z łyżkami w ręce za stołem. Zanim usiedli, Drążek zastukał wolno i zawołał:

— Wilku z Koriny, do obiadu cie prosimy, bo jak nie przyjdziesz dzisio, to nie przychodź nigdy.

Zaczęli nadsłuchiwać, czy się kto nie zjawi. — Wtem zadudniły czyjeś kroki w sieni.

— Idzie wilk, idzie — rzekło któreś.

Wszyscy skierowali ciekawe spojrzenia na drzwi. Drzwi skrzypnęły i do izby weszła ośnieżona i zakutana w chustkę — Hanka.

— A mojiście wy!

— Hanuś! a tyś sie tu skąd wziena? — powitała ją matka.

— Wołaliście wilka, to przyszed — rzekła ze śmiechem i pochyliła się do jej ręki.

Podeszła też ucałować rękę ojca i ciotki, dziwiąc się, skąd się ona u nich wzięła.

— Ciotka teroz siedzo z nami — objaśnił ją ojciec — jeszcze we żniwa do nas przyszli. A tyś sie tu jakim sposobem znalazła?

— Gospodorz mnie podwieźli prawie pod same Brzeziny. Na dziolem zlazła i jagem dochodziła do chałupy widziałam, żeście sie zabierali do wieczerzy. Stanyłam se pod łoknem i cekałam, jaz zacniecie wołać wilka. Jageście zawołali, tom wlazła.

Roześmiali się wszyscy.

— Ej ty, ty!... — pogroziła jej palcem matka. —

— No to rozbiroj sie Hanuś, i siadaj z nami do łobiadu.

Drążkowa położyła jeden opłatek na środku stołu i na nim dopiero postawiła miskę z barszczem. Zanim zaczęli jeść, zaczęli się targać za włosy, wołając: „Syp sie żytko, syp sie". Starsi — ta tego nie czynili, a jeżeli gdzieś i tak bywało, to tylko ot tak od niechcenia i delikatnie, żeby zaznaczyć, że pamiętają o zwyczajach ojców, ale dzieci, to sobie używały.

Złapali się więc za czupryny obaj chłopcy, starszy — Walek i młodszy — Kazek i zaczęli się wodzić po izbie. Józia potrząsnęła najpierw głową Hanki, potem ojca, sięgnęła do siwych włosów ciotki, a wreszcie zaczęła prosić matkę, która jeszcze nie siedziała przy stole:

— Mama, dejcie — to i wos potargom.

Drążkowa pochyliła głowę, poddając się niewinnej egzekucji. Śmiechu było przytem coniemiara. — Przy drugiej potrawie powtórzyło się to samo. Wołali tylko:

— „Wiążcie sie zimniocki, wiążcie", a przed kapustą: „Składej sie, kapustko, składej". Miało to podnieść przyszłe urodzaje, które też przewidywali na podstawie tego, czy opłatek przywarł do miski, czy nie. Jeżeli przywarł — świadczyło to o plenności, jeżeli nie — zbiór miał być kiepski.

Po wieczerzy każde uklękło do pacierza. Potem zaśpiewali „Wśród nocnej ciszy" i zaczęli rozmawiać to o tem, to o owem. Hanka opowiadała o swoim pobycie w Hrećkówce. Mówiła, że jest jej tam bardzo dobrze. Roboty, coprawda, nie brakuje, ale za to gospodarz i gospodyni ogromnie ją lubią i nie rzekną jej nigdy marnego słowa nagany. Prawda i to, że nie zasługuje na tę naganę. Do roboty się nie leni, niczego w domu nie ruszy, pyskiem — jak to inne — nie odszczeknie, więc dlaczegóżby jej nie lubili? — Obiecali jej przyczynić na drugi rok dwie dziesiątki, byle tylko u nich została.

— No i co, Hanuś, łostaniesz? — zapytała ją matka.

— Łostane. Coby my tu wszyćkie robiły w chałupie? Teroz wom jeszcze ciotka przybyli... A prowda! Widziałam sie w Grodzisku w kościele z Lełośkom Drygasiąkom, pytała się ło ciotkę.

— Co to za jedna? — zapytał Drążek..

— To po mojim bracie — objaśniła go Brożkowa. — Noji co, Hanuś, co ci godała?

— A nic. Mówiła, że zaglondnie do wos, do Siedlisk. Widać nie wi, żeście u nos w Brzezinach.

— Co tam koło ni słychać?

— Mo sie podobno wydawać teroz na zapuście.

— Tak? A ty ta, Hanuś, ni mosz kogo?

— Eee!... Dzieby sie ta chto zapytoł ło bidno dziewczyne? Żebyście mi, ciotko, zapisali tyn wasz gront, toby sie ta i kawaler znaloz — dodała ze śmiechem.

— A mojeż ty dziecko! — jo se go przecie do tromny pod głowe nie włoże, ino go komusi łostawie.

— To nie tak — widzicie — wtrącił się Drążek — jagbyście ji teroz zapisali, nie cekajonc śmierci; toby ta pryndzy chto do ni zaglondnoł...

— Coście sie znowu uwzieny molestować ciotke ło jakisi zapis? — wpadła na nich Drążkowa.

— Eee!... Jo tylko tak ze śmichu — broniła się Hanka. — Dziebym znów myślała ło takich rzecach.

— Cego ze śmichu — ciągnął Drążek — jak bedziemy żyć, to ło wszystkiem trza bedzie pomyśleć.

— O, dołbyś, stary, spokój z takom mowom! — Ciotka nietylko nos majo. Mogo se gront zapisać komu innemu .Zreśtom, cy my to lo nich najlepsze?

— Mojiściewy — zaczęła Brożkowa — a dyć przygarnyliście mnie sirote, toć bym serca ni miała, jakbym to komu innemu oddała.

Drążka — jak to mówią — pogłaskało po sercu, ale Drążkowa zaoponowała przeciw dalszym wynurzeniom i przyrzeczeniom siostry.

— Bóg wi, co z nami bedzie. Może siostra jeszcze nos przeżyjo i my jim to nasze łostawimy!... Co ta bedziemy zawcasu układać se jakiesi zapisy. My tu siostry łod siebie nie wyganiomy, to nie muszo nos kupować swojem majątkiem i ło takich rzecach mi nie godojcie, bo ni moge słuchać!

Drążek spiorunował żonę wzrokiem i gotował się do jakiejś odpowiedzi, ale powstrzymał się, nie wiadomo — czy że mu mowę odebrało z gniewu, czy ze względu na uroczysty dzień wilji. Dość, że nie rzekł ani słowa, zacisnął zęby i przemilczał resztę wieczoru. Na twarzy jego znać było jednak niezadowolenie.

— Cego ta moja baba tako głupio? — latało mu po głowie — cego łona tako głupio?!... Bede jo ji musioł nagnać troche zastanowiono do łba, bo inacy łonaby mnie tu wyrychtowała! Ty, człowiece, karkuluj, jaz ci głowa trzasko, jakby oc uchycić, a ta sie w delikacyje bawi... Bodejcie!...

Chwilę jeszcze rozmawiały kobiety ze sobą, aż wreszcie zaczęła Brożkowa „wozić żydy“, więc położyła się spać. Za nią poszła i Drążkowa.

Hanka z Józią i chłopcy wybierali się na Pasterkę, ojciec powiedział, że też pójdzie, dlatego żadne z nich nie myślało o spaniu, czekając chwili, kiedy dzwon zawezwie ich do drogi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zemsta Walka.

(Nowelka).

Była ciemna, słotna noc kwietniowa. Niebo zaciemniło się czarnemi chmurami, z których mrzył bezustanku drobny deszczyk, tworząc po drogach kałuże, zapełniając rowy i wyboje. Zimno było przejmujące do szpiku kości, wzmacniał je jeszcze silny wicher północny, świszcząc przeraźliwie i łamiąc konary przydrożnych drzew.

Chociaż była dopiero wieczorna godzina, nie można było spotkać żywej duszy, na wąskich błotnych uliczkach wioski B. Nikt nie miał najmniejszej ochoty wyjrzeć na tak brzydki czas, wolał siedzieć w izbie i rozkoszować się błogiem ciepłem.

Wioska cicha, spokojna, układała się na spoczynek nocny po pracowitym dniu, marząc i myśląc o lepszem jutrze! Jeszcze gdzieniegdzie błyszczały światełka w małych okienkach, wreszcie i one pogasły. Wioska spała snem sprawiedliwego, nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa. Słychać było tylko naszczekiwania psów! One, te wierne zwierzęta, czuwały nad bezpieczeństwem człowieka. Z początku zaszczekał ten i ów; po jakimś czasie, jakby się zmówiły, zaczęły wyć, jak na komendę, tak przeraźliwemi tonami głosów, że dreszcz wstrząsał od tej kapeli. One, jakby coś przeczuwając, coraz bardziej potęgowały swoje głosy, które dziwnie ponurem echem rozlegały się w pobliskim lesie!...

Drogą, prowadzącą przez las ku wiosce, szedł spiesznie jakiś człowiek. Znać, że coś ważnego miał do spełnienia, skoro go gnało w tak brzydką noc! — Gdy wyszedł z lasu, skierował swe kroki nie ku wsi, lecz skręcił w lewo, gdzie na skraju wsi stała zagroda bogatego gospodarza, Wojciecha Zawady, który był wójtem i panem wioski, znany jako wielki sknera i człowiek nielitościwy.

Człowiek, który wyszedł z lasu, widać że nie w goście przychodził, bo cicho, jak kot, podkradał się ku domostwu Zawady, przystawając co chwila i nadsłuchując.

Głośnem ujadaniem przywitały go psy, ale uspokoiły się zaraz, gdy się do nich odezwał szeptem:

— Cicho, Zagraj, cicho.

Widać znały go one dobrze, bo skomląc radośnie, łasiły się u jego nóg...

Przystanął koło stodoły, niezdecydowany, z bijącem sercem, wahając się!... Odbywał walkę wewnętrzną, z uczuciem zemsty i sumienia. Głos sumienia odradzał mu: „nie rób tego, to grzech“. — Już chciał się cofnąć od zamierzonego planu, ale demon zemsty nie dawał za wygraną i zasyczał mu nad uchem: „On jak psa cię kopnął, a ty mu darujesz tę sromotę?“ — Wzdrygał się od tego wspomnienia.

Przed oczyma jego stanęła mu, jak na jawie, ta chwila, gdy przyszedł oświadczyć, że oni kochają się z jego Marysią, i pokłonić się Zawadzie o jej rękę!

Stary Zawada, gdy to usłyszał, przez chwilę oniemiał, nie mogło mu się w głowie pomieścić, że on, Walek, wyrobnik, co niema jeno lichą chatę, — śmiał mu córkę bałamucić i on nędzarz prosić o jej rękę?

Po chwili, gdy przyszedł do siebie, wściekły z oburzenia huknął:

— Ty, dziadu, wynoś się złodzieju!

To mówiąc, wyrzucił go za drzwi i wyszczuł psami! Nie koniec na tem, stary Zawada rozpowiadał po całej wiosce, naśmiewając się z jego zalecanek! — Śmiano się też z Walka po całej wsi; nie śmiał się nikomu na oczy pokazać, siedział w chacie i gorzko żałował swoją sromotę. I poprzysiągł on Zawadzie srogo się pomścić!

— Poczekaj, zapłacę ja ci za tego złodzieja! — wygrażał się, obmyśliwując plan zemsty.

Nie mógł się jednak zdecydować, bał się, że go wykryją.

Dopiero przypadek przyszedł mu z pomocą. Przed tygodniem poszedł z innemi parobkami na zarobek do pańskich lasów, odległych o kilka mil. Matkę staruszkę zostawił samą na opiece sąsiadów. Byli tam cały tydzień, a wracając w sobotę wieczorem do domu, zastała ich noc w miasteczku odległem od ich wioski przeszło milę. A że był psi czas, postanowili zanocować w miasteczku, a jutro rano wracać do domu. Walkowi było to bardzo na rękę, pomyślał, że „teraz, albo nigdy“. I podczas gdy inni zasnęli, on wstał, ubrał się i wysunął się niespostrzeżony przez nikogo na dwór.

Nie przestraszała go brzydka, ciemna noc, biegł szybko w stronę wioski, krótszą drogą, lasami i nie za całą godzinę był u celu swej podróży, aby spełnić swoją zemstę!

Blady jeszcze ze zmęczenia, stał z dziko pałającymi oczyma, gorzko przeżuwając te wspomnienia. Żądza odwetu brała górę! Wreszcie szarpnął się i zasyczał:

— Popamiętasz ty złodzieja! — i już zdecydowany na wszystko, sięgnął do kieszeni. Wydobył jakiś łachman, naftę i zapałki. Podsunął się skrycie ku oborze, oblał łachman naftą, zapalił i rzucił wewnątrz przez szparę. Potem podbiegł ku chacie, do której przypierała szopa wypełniona słomą i również podpalił. Robił to bardzo szybko, a skończywszy, wielkimi susami oddalał się ku lasowi...

Odetchnął z ulgą, gdy wpadł w las, czekając skutków swej roboty.

Nie czekał długo. Po chwili błysnęły ku niebu jasne płomienie, ogarniając momentalnie dach domu, obory i inne zabudowania.

Walek stał ukryty za drzewami i obserwował z dziką radością swoje dzieło zniszczenia.

Nie prędko spostrzeżono ogień u Zawady, dopiero jak zaczął trzeszczeć i walić się dach domu, obudził się stary Zawada i domownicy. Wszczął się okropny krzyk, płacz, harmider; bydło ryczało przeraźliwie!... Urywanym jękiem odezwał się dzwon kościelny!...

Widział Walek, jak stary Zawada wypadł z domu, jak szaleniec, biegał, krzyczał, wreszcie wpadł do obory, by ratować bydło, lecz już stamtąd nie wyszedł, dach zawalił się nad nim! Patrzał na to Walek, lecz gdy zobaczył, że Zawada zginął, uczuł ogromny ciężar w duszy. Trapiony wyrzutami sumienia pognał w powrotną drogę!

Nieszczęsny, nie przeczuwał, jaką sobie i niewinnym ludziom zgotuje swym niecnym postępkiem dolę!...

Pożar huczał, niszcząc mienie, wspomagany przez wicher, który, jakby chcąc zniszczyć wszystko, zmienił swój kierunek i dął straszliwie w stronę wioski, unosząc za sobą całe płonące snopy i rozrzucając je po wiosce.

Pomimo deszczu pożar szybko przerzucił się w sam środek gęsto zabudowanej wioski. Za chwilę i tam rozszalało się piekło zniszczenia i morze niedoli!... Jęki, ryki, krzyki, to wszystko tworzyło piekielny hałas, a nad tem wszystkiem górował niczem nieokiełznany żywioł i szalał, a szalał!...

— — — — — — — — — — —

Walek, zziajany, zmęczony, dopadł do miasteczka, wsunął się niepostrzeżony jak i wyszedł i, rozbierając się gorączkowo, położył się. Dopiero teraz teraz odetchnął lżej; nikt go nie widział, że wychodził i nikt go podejrzywał nie będzie! Miał dobre alibi, nie bał się! A jednak nie cieszył się ze swego czynu, wizja Zawady w ogniu wżerała mu się w serce i nie dawała mu spokoju. Tłukł się po swem posłaniu, jak potępieniec! Był coraz bardziej niespokojnym, a wzrastająca łuna na niebie uczyniła, że zerwał się ze swego posłania, obudził kolegów, wołając:

— Wstawajcie prędko, nasza wioska się pali-

Chłopcy zerwali się na te słowa. Po chwili już ich nie było. Pędzeni troską i strachem o swoich, gnali ku rodzinnej wiosce.

Był już dobry dzień, gdy dopadli pierwszych zabudowań. Oczom ich przedstawił się zgrozą przejmujący widok. Ogień wprawdzie już dogasał, lecz prawie pół wioski nie było; sterczały tylko ku niebu czarne, osmolone kominy.

Walek, tknięty jakiemś okropnem przeczuciem, biegł prędko ku swojej chacie, a gdy minął zakręt, oczom nie wierzył, stanął, jak wryty, chaty jego nie było!!!...

Spostrzegł tylko jakąś gromadkę ludzi, podbiegł, krzycząc jak warjat:

— Gdzie moja matka?

Nikt mu nie odpowiedział. Rozstąpiono się i pokazano mu martwe, zwęglone zwłoki matki...

Ryknął coś strasznym głosem i zwalił się nieprzytomny u nóg matki.

Po jakimś czasie, gdy przyszedł do siebie, ludzi przy nim już nie było, bo nikt nie miał czasu troszczyć się o czyjeś nieszczęście, bo swego miał dość. Otworzył oczy, ale nie mógł zebrać myśli, uczuł tępy, głuchy ból w głowie! Zdołał wreszcie jakoś przypomnieć sobie wszystko, a z tem przyszło mu całe morze cierpień i zgryzot.

— Jam mordercą własnej matki — mamrotał, tłukąc głową o ziemię z okropnej rozpaczy.

Nękany strasznemi wizjami i wyrzutami sumienia, z twarzą przy ziemi, jęczał nieludzkim głosem.

Oj, bo strasznie zemścił się na nim los.

— — — — — — — — — — —

Nazajutrz odbył się pogrzeb ofiar, a było ich 5: stary Zawada, matka Walka i troje dzieci. Walek szedł za trumną jak lunatyk, nie zdawał sobie z niczego sprawy. Obojętnem patrzał okiem, jak matkę spuszczano do grobu i obojętnie wyszedł z cmentarza, nie czuły na nic.

Słyszał, jak we śnie, jak ludzie przeklinali podpalacza, ale kto nim był, nikt nie wiedział!... Odruchowo szedł Walek ku chasie, której nie było... Tu błysk pamięci przypomniał mu wszystko. Jakby młotem w głowę, uderzyło go wspomnienie: „Morderca-podpalacz!“ Uciekł przed tym głosem w lasy, lecz on ciągle za nim szedł i powtarzał: „Morderca-podpalacz!“ Był już bliski obłędu! Włóczył się gdzieś do nocy, a gdy się ściemniło, dowlókł się do karczmy, gdzie tego wieczora było dużo gospodarzy i pogorzelców, biadając nad swą niedolą. Walek wszedł, do nikogo się nie odzywając. Kazał sobie dać wódki, siadł i pił jak szalony. Złowrogiem okiem patrzał po obecnych, nic się nie odzywając, pijąc dalej.

Jego dziwne zachowanie zwróciło uwagę obecnych, jeden z kolegów jego, podszedł do niego i chcąc go rozweselić, zażartował:

— Walek, czego ty tak patrzysz, jakbyś siedm wsi spalił?

Na te słowa Walek podskoczył, jak oparzony, nie rozumiał pytania, tylko zasłyszał, że ktoś do niego mówił, że „spalił“.

— A więc wiedzą, że on podpalacz — przemknęła myśl przez jego zamroczony umysł.

Wstał nagle i z dzikim błyskiem w oczach, zmienionym głosem zawołał:

— Tak, ja podpaliłem Zawadę!

Ponura cisza zapanowała w karczmie po jego słowach, wszyscy patrzyli na niego ze zgrozą, czy on prawdę mówi, czy zwarjował! A on, jakby chciał zrzucić ów ciężar gniotący go, opowiadał szybko i gorączkowo cały przebieg podpalenia. Po jego wyznaniu złość i oburzenie wstąpiły w obecnych, posypał się grad przekleństw na niego- Jeden z pogorzelców podszedł do Walka i uderzył go silnie w twarz ze słowami:

— Masz morderco moich dzieci!

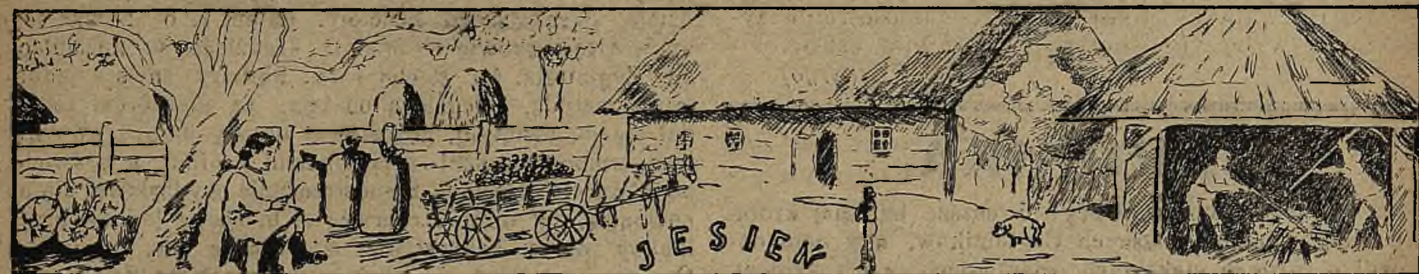
Walek, jak dziki zwierz, rzucił się na napastnika. Jego obrona rozwścieklila obecnych, rzucono się na niego, kto żył, i bijąc go czem mógł... Ktoś zgasił

światło. W ciemnościach słychać było chwilę straszne krzyki i przekleństwa, a potem cichy jęk:

— Jezu!

Wreszcie wszystko ucichło. — Gdy przerażony śmiertelnie karczmarz odważył się zapalić światło, w karczmie już nie było nikogo, tylko na podłodze leżały strasznie zniekształcone zwłoki Walka-podpalacza...

Antoni Kurek.



Poradnik gospodarczy.

Świeże owoce i jarzyny w zimowej porze.

Że kryzys gospodarczy panuje w całym świecie, o tem wszyscy wiemy. Najwięcej na tem cierpi rolnik, który ma nadmiar produktów rolnych i ogrodowych, wobec czego sprzedaje je po ogromnie niskich cenach. Jedną, z powszechnie znanych rad, jest niesprzedawanie całego zapasu produktów w jednym czasie, t. j. w jesieni, lecz o ile możności zachowanie części na zimę. Są produkty, które bardzo trudno jest przechować, lub wręcz nie można. — Do takich należą niektóre owoce i jarzyny. Ale co się da przechować — przechowajmy możliwie aż do nowych zbiorów!

Owoce, niedające się przechować w stanie świeżym, można przerabiać, a więc suszyć, robić powidła, marmelady, kompoty, konfitury — inne, jak jabłka, niektóre gatunki gruszek, można łatwo przechować w stanie świeżym aż do wiosny. Także jarzyny, buraki, marchew, pietruszkę, kapustę i inne można długi czas przechować. Do przechowania owoców i jarzyn potrzebne są suche i dość ciepłe piwnice. Jabłka i gruszki przeznaczone do przechowania muszą być zupełnie zdrowe, nie obite, a więc zrywane z drzew, a nie otrząsane. Pod ścianami piwnicy ustawia się półki, aż pod sam sufit, jedna półka od drugiej winna być oddalona na 20 centymetrów. Na tych półkach układa się owoce, ogonkami do góry, w ten sposób, by jeden owoc nie dotykał drugiego. Co pewien czas należy robić dokładny przegląd poukładanych owoców i wszystkie nadpsute zabierać odrazu do użytku. W ten sposób długo, bo aż do wiosny można mieć zawsze świeży owoc.

Jeżeli piwnica nie jest odpowiednio ciepła, muszą jeszcze być zrobione maty ze słomy, któremi w czasie mrozów przykrywa się owoce.

W piwnicy, przeznaczonej do przechowania owoców i jarzyn, powinno być także okno do otwierania. W jesieni, póki jest ciepło, należy piwnice wietrzyć, także i w zimie nieraz w cieplejszy dzień trzeba na godzinę w południe otworzyć okno. Jarzyny można umieścić w tej samej piwnicy co i owoce. Na dno piwnicy trzeba nawieźć suchego i czystego piasku. — Tu należy wspomnieć, że do przechowywania jarzyn każdego roku musi się używać świeżego piasku.

Jarzyny, podobnie jak owoce, muszą być zupełnie zdrowe, nać należy nisko obcinać, ale w ten sposób, by przypadkiem nie uszkodzić samych korzeni. Następnie trzeba jarzynę pozostawić przez jeden dzień, po wyjęciu z ziemi na powietrzu, by dobrze obeschła i troszkę przewiędła. Na drugi dzień przenosi się ją do piwnicy i układa na niewysokiej warstwie piasku, oczywiście także w ten sposób, by jeden korzeń nie dotykał drugiego. Gdy pewna przestrzeń jest już założona, wtedy przesypuje się piaskiem i układa drugą warstwę. I tak powstaje rodzaj grzędy. Nie należy jednak kłaść wyżej, niż na jakieś trzy do czterech warstw jarzyn w jednej grzędzie, lecz każdy gatunek kłaść oddzielnie.

Kapustę, jeżeli chcemy przechować w stanie świeżym, poprostu przesadza się z ogrodu, wraz z korzeniem, w piasek w piwnicy. Wtedy można ją przechować dosyć długo. Część kapusty, do prędszego użytku, należy poukładać (po obcięciu korzenia) na półkach.

Pamiętać należy, że jarzyn i owoców, które były w ogrodzie w czasie pierwszych przymrozków przechować nie można, gdyż zaraz zepsują się.

Poradnik lekarski.

Żywokost lekarski.

Niezmiernie cenną rośliną lekarską, którą każda gospodyni powinna mieć u siebie, jest żywokost lekarski. Znana to roślina, rośnie na wilgotnych łąkach, nad brzegami rzek i rowów. Korzeń ma brunatny, wewnątrz biały, śluzowaty i miękki. Łodyga zależnie od jakości ziemi 50 do 80 cm., wysoka, gałęzista, soczysto-śluzowata, okryta szorstkiemi, jakby lepkawemi włosami. Liście dolne jajowo lancetowate, ku górze ostrzej zakończone, zielone, miękkie, spodem grubo żyłkowate, szorstko włosiate. Kwitnie od maja do sierpnia. Kwiaty ma dzwonkowate, białe, żółtawe albo liljowe. Smak ziela cierpkawy, zapach przypomina ogórek. Zbierać należy korzeń w jesieni albo wczesną wiosną, gdy zaczyna listki wypuszczać. Po wykopaniu dobrze umyć z błota, w całości rozłożyć na powietrzu albo w przewiewnem miejscu. Gdy zwiędnie i pomarszczy się, pokrajać w drobną kostkę i dosuszyć na płótnie lub papierze. **Zastosowanie:** Odwar żywokostu jest bardzo cenionym środkiem przeciw katarom dróg oddechowych, płuc, krtani i chrypkom. W chorobach żołądka działa także doskonale, pomagając w trawieniu. Okłady z żywokostu przy stłuczeniu są również pomocne.

Aby należycie wyzyskać korzeń żywokostu, jako lekarstwo, trzeba odpowiednio przygotować odwar, inaczej działa słabo. Korzeń należy utłuc tak, aby kawałki były drobniutkie. Dwie łyżki korzenia zalewa się dwoma szklankami gorącej wody i stawia na 6 godzin, mieszając czasem. Po upływie tego czasu należy to zagotować przez kwadrans, ostudzić i dopiero wtedy przecedzić. Płyn powinien być gęsty i ciągliwy. Porcja taka wystarczy na dzienny użytek, pić przed jedzeniem po parę łyżek. Zresztą można się zapytać lekarza. Jak skutecznie działa żywokost, wykazuje w swej książce o ziołach lekarskich znany

ich hodowca p. Jan Biegański, pisząc, że znał człowieka, który zapadł na uporczywą chrypkę tak, że zupełnie głosu nie mógł wydobyć i porozumiewał się tylko pismem. Wszelkie środki nie pomagały, choroba trwała 1½ roku. Dopiero zastosowanie żywokostu wyleczyło chorego w krótkim czasie.

(Ergo)

KRONIKA.

Od Redakcji. Aby ożywić jeszcze bardziej kronikę „Roli", prosimy naszych Czytelników, aby nam donosili o różnych ciekawych zdarzeniach w ich okolicy. Wiadomość trzeba opisać tego samego dnia i tego samego dnia wysłać pod adresem Redakcji, aby mogła być umieszczona w najbliższym numerze „Roli".

Morderstwo czy wypadek. Z Kupienina donoszą nam: W dniu 25 września b. r. przyszedł do naczelnika gminy w Wójcinie pow, Dąbrowa niejaki Jan Klimczak, lat 27, sąsiad naczelnika gminy celem naprawy butów. Klimczak, załatwiwszy sprawę, udał się do komórki przy stajni. W międzyczasie nadszedł do tejże komórki kolega Klimczaka 25-letni Piotr Matuszczak, syn miejscowego policjanta. Obaj koledzy zaczęli ze sobą żartować, kłując jeden drugiego szydłem i t. p. Figle te zamieniły się później w kłótnię, w ciągu której Klimczak chwycił za ukrytą i rozebraną w pace strzelbę. Momentalnie złożył strzelbę i zmierzywszy do znajdującego się przy nim Matuszczaka, pociągnął za cyngiel. Strzelba wypaliła, raniąc Matuszczaka śmiertelnie w lewą pierś. Nieszczęśliwy po dwóch minutach zakończył życie. Zabójcę natychmiast aresztowano i oddano do dyspozycji sędziego śledczego. Sprawa o tyle jest zagadkową, że niema żadnego świadka, wskutek czego niewiadomo, czy było to rozmyślne zabójstwo, czy tylko nieszczęśliwy wypadek.

Rabunek. Lwowski Urząd śledczy zawiadomiono o śmiałym napadzie rabunkowym, dokonanym przez sześciu zamaskowanych bandytów w Bolanowicach (pow. Mościska). Bandyci wpadli do mieszkania Izaka Bursztyna, kupca, poczem steroryzowali go rewolwerami i zrabowali 500 zł. w gotówce. Przed ucieczką rabusie oddali kilka strzałów na postrach.

Podkop w śródmieściu Lwowa. Do składu futer Rudolfa Mizesa i Ozjasza Gardera przy ul. Krakowskiej we Lwowie dokonano zuchwałego włamania drogą podkopu podziemnego. Gdy rano właściciele otworzyli sklep, zauważyli, że usiłowano podkopać się do ich magazynu. Zawiadomiona policja wszczęła natychmiast dochodzenia i ustaliła, że w realności przy ul. Krakowskiej prowadzi także druga brama przy ul. Kamińskiego 5. W nocy trzech nieznanych narazie sprawców dostało się do kamienicy przy ul. Kamińskiego 5, gdzie zerwali kłódki z czterech piwnic, poczem dostali się do piwnicy fryzjera Minkina, mieszczącej się pod składem futer. W suficie tej piwnicy włamywacze przebili otwór, szerokości 80 cm. Pozostało jeszcze do przebicia około 5 cm. W tej chwili jeden z lokatorów zadzwonił na dozorocę, a włamywacze, usłyszawszy wychodzącego z sieni dozorcę, zbiegli. Za włamywaczami tymi zarządzono pościg.

Świętokradztwo w Ottynji. Nieznany sprawca włamał się do gr. kat. cerkwi w Ottynji powiatu tłumackiego. Zbrodniarz, przystawiwszy drabinę, dostał się po niej na dach, a stamtąd do zakrystji, gdzie skradł ze szafki trzy kielichy wartości 1.000 zł.

Ukarany świętokradca. Sąd okręgowy w Częstochowie rozpatrzył sprawę 19-letniego Tadeusza Zawiły, oskarżonego o popełnienie kilku kradzieży w miejscowych kościołach. Wykolejony młodzieniec pochodzi z Krakowa, gdzie ukończył nawet 4 klasy gimnazjum, ale po stromych ścieżkach życiu spadł aż do roli złodzieja, okradającego kościoły. Latem r. b. znalazł się on w Częstochowie i popełnił kradzieże w kościołach św. Zygmunta, św. Rocha i św. Barbary zawsze jednakową metodą, polegającą na tem, że wieczorem zakradał się do świątyni, pozostawał ukryty na noc we wnętrzu, rozbijał puszki z pieniądzmi z ofiar, a o świcie, po otwarciu kościoła, niepostrzeżenie wydostawał się na zewnątrz. W dniu 2 czerwca r. b. został jednak przyłapany przez zakrystjana w kościele św. Zygmunta. Oprócz przestępstw kradzieży z puszek na Zawile ciążyło oskarżenię o profanację ołtarza. Sąd skazał Zawiłę za każdą kradzież po 2 lata więzienia, a za znieważenie ołtarza 1 na rok ciężkiego więzienia.

Napad na plebanję. Nieznany sprawca wtargnął na plebanję w Kozienicach (woj. kieleckie) i steroryzowawszy ks. Siewieckiego, zrabował mu z biurka 109 zł. oraz rewolwer. Sprawca zbiegł nie zatrzymany przez nikogo. Zarządzony pościg pozostał bez rezultatu.

Strzały w dyrekcji kolejowej w Warszawie. W gabinecie wicedyrektora dyrekcji kolei państwowych w Warszawie rozegrała się scena, która omal nie zakończyła się tragicznie. Do wicedyrektora inż. Edwarda Zienkiewicza zameldował się jakiś pan, który wypełnił kartę meldunkową nazwiskiem inż. Lewicki. Zaledwie interesant ukazał się w drzwiach, inż Zienkiewicz poznał, że jest to pierwszy mąż jego żony, Stefan Poniatowski. Poniatowski jest człowiekiem wykolejonym. W swoim czasie roztrwonił cały majątek swój i żony. W roku 1924, gdy inż. Zienkiewicz ożenił się z jego byłą żoną, Poniatowski groził, że go zastrzeli. Poniatowski, wchodząc do gabinetu, odrazu w progu wyjął rewolwer i strzelił do inż. Zienkiewicza. Na szczęście chybił. Kula utkwiła w suficie. W sekundę później strzelił poraz drugi. I teraz nie trafił. Kula utkwiła w biurku. Inż. Zienkiewicz, widząc grożące mu niebezpieczeństwo, chwycił mały stoliczek z papierami i zasłonił się nim przed strzelającym. W tym momencie huknął trzeci strzał. I tym razem chybił. Kula utkwiła w blacie stolika. Korzystając z jednej chwili, gdy Poniatowski oglądał rewolwer przed dalszym strzałem, inż. Zienkiewicz rzucił się na niego, powalił go na ziemię i usiłował wyrwać broń. W tym momencie do gabinetu wpadli urzędnicy i obezwładnili strzelającego. Wezwano policję, która przewiozła Poniatowskiego do urzędu śledczego.

„Nowoczesne środki okradania". Niezwykły wypadek pomysłowości złodziejskiej wydarzył się w niemieckich Okoninach pod Bydgoszczą. Do wójta tej wsi zgłosił się nieznany osobnik z prośbą o pozwolenie na wygłoszenie w sali szkolnej odczytu p. t. „Nowoczesne środki okradania". Po załatwieniu odnośnych formalności i uzyskaniu zezwolenia na odczyt prelegent obchodził chaty, pozostawiając zaproszenia. W chatach, w których nie zastał domowników, pozabierał wszystkie rzeczy, zostawiając kartkę z zawiadomieniem, że zabrane rzeczy, które mają stanowić demonstrację odczytu, będzie można odebrać w szkole po odczycie. Okazało się jednak, że pomysłowy złodziej ulotnił się, narażając szereg osób na poważne straty. W każdym razie nauczył on mieszkańców Okonina, w jaki sposób w obecnych czasach najłatwiej okradać.

Spaleni żywcem. W oberży Ludwika Ostrowskiego w Kiełpinach wybuchł pożar, który pociągnął za sobą, oprócz strat materjalnych w kwocie około 15.000 zł. i ofiary w ludziach. W czasie snu spłonęli: lokator budynku Rilkel Władysław, jego żona i trzy córki. Ponad-

to spłonęły zwłoki trzytygodniowego syna Rilkela, który zmarł przed dwoma dniami. Również poniósł śmierć drugi lokator oberży Domtalski Teofil.

Włamanie na poczcie w Wilnie. W ubiegłym tygodniu dokonano zuchwałego najścia na urząd pocztowy przy ul. Kalwaryjskiej w Wilnie. Podczas przerwy obiadowej między godziną 12 a 1 nieznani dotychczas sprawcy wyważyli drzwi do mieszkania kierownika urzędu i tą drogą przeszli do biura pocztowego, gdzie stała kasa ogniotrwała. Złoczyńcy nie zdołali ze względu na brak czasu rozbić kasy, zadowolili się tylko rozbiciem biurka należącego do towarzystwa pocztowego „Lot“ i zabrali znaczki pocztowe i pieniądze. Wartość znaczków nie jest narazie dokładnie ustalona, nie przekracza ona jednak wartości kilkuset złotych. Dotychczas sprawców włamania nie udało się ująć.

Proces o nadużycia w dobrach hr. Przeździeckiego. W wileńskim sądzie okręgowym przed wydziałem karnym toczy się proces w głośnej sprawie o nadużycia w administracji wielkich dóbr Woropajewo w powiecie postawskim, stanowiących własność hr. Przeździeckiego. Na ławie oskarżonych zasiadł długoletni generalny plenipotent i administrator dóbr woropajewskich, mieszkający w Warszawie, Aleksander Wardeński. Akt oskarżenia zarzuca Wardeńskiemu przywłaszczenie na szkodę hr. Przeździeckiego kwoty przeszło 700.000 zł. oraz podrobienie pokwitowań na 85.000 i 86.000 zł. Równocześnie na ławie oskarżonych zasiadł nadleśniczy lasów dóbr woropajewskich, Aleksander Chocianowicz, oskarżony o przywłaszczenie przeszło 52.000 zł. Po odczytaniu aktu oskarżenia przesłuchano oskarżonego Wardeńskiego, który do winy się nie poczuwa. Do rozprawy powołano kilkudziesięciu świadków.

Straszny czyn szaleńca. Z Wilna donoszą: Mieszkaniec wsi Bożatele, gm. dereczyńskiej, Marjan Szerecki, nerwowo chory, zamknął w oddzielnym pokoju swoją matkę i dwie siostry i podpalił dom ze wszystkich stron, poczem zbiegł do lasu. Dom spłonął doszczętnie. Kobiety uratowano w ostatniej chwili.

Głowa zamordowanego brata w stodole. We wsi Antoniewicze, gmina Drozdów, w jednej ze stodół znaleziono zakopaną głowę ludzką. Policja, przeprowadziwszy dochodzenia, stwierdziła, że bracia Jan i Michał Micharowscy zamordowali swego brata, który cierpiąc na chorobę umysłową, odgrażał się, że podpali ich gospodarstwo, Obawiając się spełnienia tej groźby, bracia trzymali go pod kluczem. Gdy pewnej nocy zbiegł on z izby, Michał Micharowski pogonił za nim i uderzył go kijem w głowę, co spowodowało natychmiastową śmierć. Zabójca przy pomocy drugiego brata poćwiartował zwłoki zamordowanego i zakopał je w stodole.

Samobójstwo panny młodej na weselu. We wsi Sskilewo, gm. kozłowskiej, na Wileńszczyźnie odebrała sobie życie w czasie uczty weselnej panna młoda, 22 letnia Ksenia Urzanienówna, którą rodzice wbrew jej woli wydali za 70-letniego zamożnego sąsiada, Bazylego Baganowa. Desperatka przy stole weselnym zażyła trucizny i wkrótce też potem w obecności licznych gości, w strasznych męczarniach zakończyła życie. Przed śmiercią zeznała Urzanienówna, że od trzech lat była zakochana w niejakim Janie Harcinowskim, którego poślubieniu sprzeciwiał się jednak ojczym z powodu jego ubóstwa i postanowił wydać córkę za sąsiada, z którym łączyły go stosunki finansowe. Jak się okazało, był on Baganowi winien 5.000 zł., a nie mając gotówki, sprzedał mu poprostu swą pasierbicę.

Straszny cios kosą. Z Wilna donoszą: Wieś Krawczuki, gminy janowskiej, stała się terenem niezwykłej walki pomiędzy kilkunastu mieszkańcami tej wsi na tle podziału łąki. Podczas bójki jeden z uczestników, a mianowicie Michał Kowszyc został ugodzony kosą w syję i po kilkugodzinnej agonji zmarł. Pozatem trzej inni uczestnicy bójki: J. Potek, W. Klewko i Sawicki zostali ranni. Bójkę zlikwidowała policja. Winnych aresztowano.

Sukces Polaków przy wyborach w Czechach. W niedzielę 27 września b. r. odbyły się w całych Czechach wybory do rad gminnych, w których Polacy odnieśli znaczne zwycięstwo. Jak okazuje się z dotychczas nadesłanych zestawień, uzyskali oni w różnych miejscowościach 22 nowych mandatów, co świadczy dobrze o poczuciu narodowem naszych braci za kordonem i o ich wyrobieniu politycznem.

Ciężkie położenie Niemiec. Sytuacja w Niemczech przedstawia się coraz gorzej. Rząd niemiecki rozszastał pieniądze na pożyczki dla bolszewików, a tymczasem nie ma czem płacić własnych długów, które wynoszą olbrzymie sumy. A równocześnie życie gospodarcze zamiera, gdyż brak gotówki nie pozwala na podtrzymanie go. Niedobór budżetu Rzeszy niemieckiej powiększył się już do sumy 1 miljard 200 miljonów. Niemcy chciałyby pożyczyć gdzieś pieniędzy, ale ich nikt im dać nie chce, obawiając się, że użyliby pożyczek na nowe zbrojenia przeciw sąsiadom. Wskutek zamierania życia gospodarczego liczba bezrobotnych wzrasta bardzo szybko, a ci, podburzani przez agitatorów komunistycznych, wszczynają rozruchy, które niejednokrotnie policja musi tłumić z bronią w ręku.

Śmierć „kobietona“. Na państwowej klinice kobiecej w Dreźnie zmarła znana malarka duńska Lilly Elbe, która do niedawna uchodziła za mężczyznę. Lilly Elbe, która przedtem nazywała się Einar Wegener, została na drezdeńskiej klinice kobiecej dzięki odpowiedniej operacji przemieniona w kobietę. Jako Einar Wegener należała Lilly Elbe do najbardziej znanych malarzy skandynawskich. Wystawiała swe dzieła stale na międzynarodowych wystawach, przedewszystkiem jednak w Paryżu i została odznaczona palmami francuskiej Akademji sztuk. Einar Wegener był mężem również bardzo znanej malarki duńskiej, lecz małżeństwo to uznane zostało za nieważne, gdy operacja drezdeńska wydobyła na światło dzienne prawdziwą płeć osoby, uchodzącej dotychczas za mężczyznę, a będącej właściwie kobietą. Einar Wegener przybrał następnie nazwi- Lilly Elbe. Śmierć malarki nie pozostaje rzekomo w związku z operacją, gdyż w swoim czasie opuściła Lilly Elbe klinikę drezdeńską zupełnie uleczona.

Zuchwały rabunek. W Lichterfelde dokonano w biały dzień zuchwałego napadu bandyckiego na okręgową kasę oszczędności. O godz. 3 wtargnęło do kasy dwóch młodych zamaskowanych, uzbrojonych w rewolwery bandytów i wezwało urzędnika do wydania pieniędzy. Gdy kasjer usiłował wezwać pomocy, bandyci oddali szereg strzałów, raniąc go bardzo ciężko w kręgoslup, tak, iż padł nieprzytomny na ziemię. Następnie złoczyńcy zgarnęli pieniądze leżące na kasie i na rowerach zbiegli. Pościg za nimi nie dał rezultatu.

Straszna katastrofa samochodowa. W ciągu urządzonego w Lucernie, w Szwajcarji, „Dnia lotniczego“ wydarzyła się straszna katastrofa. Nadporucznik Gerber z Zurychu, na krótko przed lądowaniem, wykonał nad głowami widzów kilka trudnych ewolucyj. W pewnej chwili samolot obniżył się tak bardzo, że dosięgnął widzów. Trzy osoby zostały na miejscu zabite, a 20 odniosło rany. Wśród czterech ciężko rannych znajduje się sam lotnik.

Przed wyborami w Anglji. Obecny kryzys gospodarczy zachwiał jednem z najsilniejszych państw europejskich, jakiem była i jeszcze jest Anglja. Najniespo-

dziewanej okazało się, że ta potężna Anglja może ogłosić niewypłacalność, stając się tym sposobem jawnym bankrutem. Aby ratować ojczyznę z niebezpieczeństwa, przywódcy trzech tamtejszych stronnictw: socjalistycznej Labour Party, konserwatystów i liberałów połączyli się ze sobą i utworzyli rząd, spodziewając się, że wszyscy posłowie z ich partyj pójdą za nimi. Stało się jednak inaczej — socjalistów tylko kilku poszło za swym przywódcą Mac Donaldem, olbrzymia większość została w opozycji tak, że nowy rząd mógł liczyć tylko na nieznaczną większość i to niepewną. Jedynie wybory mogą przynieść rządowi należytą większość, więc też parlament angielski ma być rozwiązany i nowe wybory rozpisane. W chwili, gdy te słowa dojdą do rąk naszych czytelników, rzecz ta zapewne będzie już postanowiona. Czy jednak rząd uzyska tę pożądaną większość, przewidzieć trudno. Gdyby stało się inaczej, kryzys w Anglji powiększyłby się niezawodnie jeszcze bardziej.

Wysadzenie dwóch pociągów sowieckich. Gazety łotewskie donoszą o wielkiej eksplozji, jaka wydarzyła się w czasie manewrów wojsk sowieckich. Wedle tych wiadomości pociąg zdążający z Leningradu, wyleciał w powietrze wraz z transportem żołnierzy. Są liczne ofiary w ludziach. W tym samym czasie wydarzyła się podobna katastrofa pociągu osobowego, zdążającego do Karelji. Przypuszczają, że wysadzenie obu pociągów w powietrze jest dziełem zamachowców. Osoby, które przybyły do Leningradu, mówią, że panuje tam przygnębiający nastrój, wywołany powyższemi wypadkami.

Czerwone chrzty i pogrzeby. Gazety zagraniczne podają garść niezwykle ciekawych szczegółow z życia Rosji sowieckiej. Chodzi tu mianowicie o dwa momenty z życia człowieka: urodziny i śmierć — chrzest i pogrzeb. Rugując obrzędy chrześcijańskie, bolszewicy tworzą swój własny rytuał, swoje obrzędy, któremi spotykają i żegnają życie ludzkie. Na wniosek związku bezbożników stworzono właśnie bolszewicki rytuał „czerwonych“ chrztów i pogrzebów. Podczas takiego „chrztu“, jeśli tylko można tak nazwać ten bluźnierczy ceremoniał, — zamiast rodziców chrzestnych trzyma noworodka przedstawiciel rządu. Ceremonja odbywa się w urzędzie stanu cywilnego. Urzędnik nadaje noworodkowi imię oczywiście antychrześcijańskie. Następnie owija noworodka w czerwoną płachtę, a na szyji zawieszają zamiast krzyżyka lub medalika — znak związku komsomolców (młodocianych komunistów). Wkońcu przedstawiciel sowietu wygłasza przemówienie na temat konieczności walki klasowej, oraz zwalczania religji. Potem odbywa się uczta ze śpiewem „Międzynarodówki“, a w międzyczasie obecni kropią noworodka „sowiecką wódką!“ Taki mniej więcej jest przebieg „czerwonego“ chrztu. Na podobnym poziomie stoją też ceremonje pogrzebowe. Na czele konduktu kroczą bolszewicy z czerwonemi chorągwiami, za nimi postępują przedstawiciele sowjetu, następnie członkowie towarzystw bolszewickich niosą trumnę ze zwłokami. Czasami też używają karawanu, ciągnionego przez konie, a na Ukrainie przez parę wołów. Zarówno karawan jak i trumna muszą być koloru czerwonego. Na trumnie, zamiast krzyża, pięcioramienna gwiazda, oraz odznaki państwa sowjetów: sierp i młotek. Jeśli jest na miejscu orkiestra, to przygrywa podczas pogrzebu marsze wojskowe i frywolne piosenki. Przy tem wszystkiem nie wolno pod surową karą płakać pozostałej rodzinie, lub też wyjawiać swój żal innemi sposobami. Przeciwnie, najbliżsi krewni zmarłego mają przybrać minę możliwie wesołą i bezczelną. bo wszak chodzi tu o demonstrację religijną. Wedle tego rytuału należy zwłoki palić, bo ten sposób grzebania jest przeciwny całej tradycji chrześcijańskiej, ale jeśli niema na miejscu krematorjum, wolno pogrzebać na zwykłym cmentarzu. Podczas grzebania zmarłego przedstawiciel związku bezbożników wygłasza przemówienie, wyszydzające wiarę w życie pozagrobowe, w nieśmiertelność duszy. Jest to już — jak widzimy — całkowity rytuał niby religijny w odwrotnym kierunku.

Walka o Mandżurję. Przed dwoma tygodniami na tle jakiegoś błahego zatargu wojska japońskie zaatakowały Chińczyków w Mandżurji i zajęły stolicę tego kraju Mukden, poczem posunęły się dalej w głąb kraju, zajmując i inne pomniejsze miejscowości. Chiny, do których należy Mandżurja, zwróciły się z prośbą do Ligi Narodów, aby ta wymogła na Japonji zaprzestanie walk. Japonja w Lidze Narodów oznajmiła, że ona nie prowadzi z Chinami wojny, że to nie żadna wojna, ale ot taki sobie maleńki zatarg. Nawet wytrawni politycy nie wiedzieli początkowo, o co się właściwie rozchodzi, aż obecnie wylazło szydło z worka. Oto Japończycy chcą niepodległości Mandżurji, a nawet tron mandżurski ofiarowali b. cesarzowi chińskiemu. Ten jednak odmówił. Mimo to Japończycy zapewne dopną swego celu: Mandżurja uzyska wolność, a panami jej będą w przyszłości Japończycy. Liga Narodów pokiwa im palcem w bucie.

Wspólna śmierć zakochanych. W Kalifornji, w Ameryce, zdarzył się wypadek wspólnej zagłady pary zakochanych. Młody, lecz nie majętny człowiek, kochał się w córce zamożnego fabrykanta. Mimo próśb córki ojciec jednak za niego wydać jej nie chciał, narzucając na męża starego bogatego bankiera.



Ponieważ młodzi stracili nadzieję wspólnego, szczęśliwego pożycia, postanowili zginąć. Obrali straszną śmierć. Wybrali się więc samochodem na przejażdżkę i w miejscu, gdzie droga biegła nad przepaścią, młodzieniec skierował ku niej samochód, skutkiem czego oboje roztrzaskali się o skały w głębokim parowie. Podobno ojciec panny, gdy się o okropnej śmierci córki dowiedział, wpadł z rozpaczy w obłąkanie.

Najmniejsze dziecko na świecie. Stolica Południowej Afryki, Pretorja, osiągnęła szczególnego rodzaju rekord. Oto narodziło się w Pretorji najmniejsze, najdrobniejsze na całym świecie dziecko. Zarząd szpitala, w którego jednej z sal urodził się ten rekordowy przedstawiciel rodu ludzkiego, mający zbyt maleńkie usteczka, aby móc używać zwykłego smoczka dziecięcego, musiał posłać po smoczek dla lalki. Obecnie po ukończeniu 3 tygodni życia, dziecko waży niecałe trzy funty. Za posłanie służy maleństwu pudełko wysłane watą. Lekarze i pielęgniarki pilnie czuwają na tym szczegółowym okazem, zainteresowani nadewszystko ze stanowiska nauki dalszym jego rozwojem.

RZECZY CIEKAWE.

Zaklinacze wężów.

Węże to jedne z najbardziej niebezpiecznych stworzeń. Walka z niemi jest o tyle trudna, że węże nie walczą otwarcie, rycersko, a posługują się podstępem i chytrością. Olbrzymi boa-dusiciel, jak już nazwa wskazuje, oplata ofiarę i dusi ją, aby pożreć. Siła jego uścisku jest olbrzymia. Inne węże zwykle przy ugryzieniu wstrzykują swej ofierze truciznę niezmiernie silnie działającą.

Oswojenie węża zwłaszcza jadowitego jest sztuką niemal niemożliwą. Zawsze należy spodziewać się z jego strony napaści, rozgniewać można go lada drobnostką.

A jednak znani są, szczególnie na wschodzie, tak zwani zaklinacze wężów, którzy nietylko swobodnie obcują ze straszliwemi gadami, ale grą na flecie doprowadzają je do upojenia i zmuszają nawet do tańca.

Czy muzyka tak działa na węże?

Bezwątpienia węże są bardzo wrażliwe na tony muzyczne i poddają się ich wpływowi. Dźwięki fletu pobudzają je do ruchów rytmicznych, które nazywamy „tańcem wężów“.

Nie wystarcza jednak sama muzyka. Stwierdzono, że sztukmistrze wyrywają uprzednio swym wychowankom jadowite zęby i w ten sposób unieszkodliwiają je. Czynią to w ten sposób, że podsuwają zwykle wężowi kawał sukna, a gdy rozjątrzą je mocno, wyrywają je z paszczy węża wraz z zębami.

Jadowite zęby co pewien czas odrastają, wobec czego kuglarze muszą dla bezpieczeństwa upewniać się, czy zęby odrosły i ponawiać zabieg.

Należy jednak zaznaczyć, że zdarzają się sztukmistrze, popisujący się wężami, którym zębów nie usunięto. Na czem polega ich tajemnica i zaklinanie, tego dotychczas nie zdołano wyjaśnić.

Życie na księżycu.

Cóż widzi się na niebie? Nieskończoność cudów stanowiących nieprzeniknioną zagadkę. A jednak... zaczynamy powoli przenikać i wdzierać się w te nieznane światy, jeżeli można je tak nazwać.

Co przedewszystkiem rzuca się w oczy na niebie, to dwie świecące tarcze: słońce i księżyc.

Słońce, któremu zawdzięczamy dzień i księżyc, oświetlający noc. Następnie zwracamy uwagę na gwiazdy — punkty świecące niby djamenty, wreszcie pomiędzy gwiazdami złowrogo odcinają się nieruchome planety.

Lecz to, co najbardziej zatrzymuje nasz wzrok na ciemnem sklepieniu nieba, to bezwzględnie król nocy — księżyc.

Lecz księżyc nietylko interesuje ze względu na swą zewnętrzną stronę, pragniemy przeniknąć jego tajemnice nawskroś. A wystarczy tylko długa luneta albo lorneta, aby móc obserwować księżyc. Powierzchnia jego najeżona jest kotlinami, przypominającemi kratery wulkanów.

Są to ostatnie ślady jego życia. Księżyc jest więc gwiazdą zastygłą. Niema na nim śladu wody ani powietrza, a co zatem idzie żadnego życia.

Natomiast znajdują się tam góry, sięgające 8 tysięcy metrów.

Ponieważ obszar księżyca jest cztery razy mniejszy od obszaru ziemi, to góry te na ziemi posiadałyby wysokość 32 km.

Czy są na tym świecie, tak bliskim nas — istoty żyjące?

Jeżeli są, to w każdym razie inaczej zorganizowane. Powinny umieć żyć bez powietrza. Mogą więc znajdować się na księżycu twory inaczej skonstruowane niż my lub nasze zwierzęta ziemskie. Pewnem jest to, że my ludzie ziemi z naszą budową i organizacją nie potrafilibyśmy żyć na księżycu.

Mimo jednak tego, że życie na księżycu przy odpowiednich warunkach jest możliwe, jest bardziej prawdopodobne, że księżyc jest niezaludniony.

Wielkie i wydoskonalone telskopy pozwoliłyby bezwzględnie dojrzeć na księżycu miasta, lasy, jeziora, gdyby one tam istniały. Otóż nigdy jeszcze dotąd niczego podobnego na powierzchni obszaru księżycowego nie zauważono. Śmiało więc można powiedzieć, że nasz księżyc przedstawia sobą obraz gwiazdy wymarłej mniej więcej ziemi za kilka miljonów lat.

W „Roli“ o „Roli“!

Co nam daje „Rola“ w ciągu roku, w tych małych tygodnikach, obaczymy z tych kilku wymownie świadczących liczb. A że są to rzeczy piękne i pożyteczne, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Oto w roczniku 1930 „Roli“ było drukowane: ilustracyj 270, wierszyków 82, artykułów z „Poradnika gospodarczego“ 59, artykułów z „Poradnika lekarskiego“ również 59, artykułów z „Rzeczy ciekawych“ 210, i wreszcie artykułów z „Kroniki“, podającej nam aktualne wiadomości — 1.138.

Prócz tego w każdym numerze opowiadanie Maćka Bzdury, artykuł poważny, nowelki, duże powieści, Podróż po dalekich krajach, oraz na okładce humor.

Czyż nie warto kupować „Rolę“? Osądźcie sami!

Józef Górecki.

Temperatura pioruna.

W ciekawy sposób udało się pewnemu fizykowi angielskiemu stwierdzić temperaturę pioruna. Oto zaopatrzył on konduktory w iglice z dwóch metali, znanych z tego, iż trudno dają się stopić, a mianowicie z platyny i irydjum. Przypadek zrządził, że w krótkich odstępach czasu piorun uderzył w te konduktory i stopił iglice. Tym sposobem stwierdzono, że piorun posiada temperaturę ponad 2000° (stopni), gdyż platyna topi się przy 1690° — zaś irydjum przy więcej niż 2000° (stopniach).

Skąd się wzięły nazwy dni?

Czasy starożytne i średniowieczne znały tylko siedem planet w następującej kolejności:

Słońce, Merkury, Wenus, Ziemia ze swym towarzyszem — satelitą księżycem, Mars, Jowisz i Saturn. Czasy późniejsze odkryły ich więcej, a mianowicie planetę Uranus (18 w.) i planetę Neptun (19 w.).

Wedle tych dawnych siedmiu planet oznaczono dni tygodnia.

Niedziela była dniem Słońca, Dies Solis, dotąd po niemiecku Sonntag, po angielsku Sunday, po francusku Dimanche, bo wzięte z kościelnego kalendarza: Dies Dominica — Dzień Pański.

Poniedziałek był dniem Księżyca, Dies Lunae, po franc. Lundi, po niem. Montag (der Mond — księżyc), po ang. Monday, po włosku Lunedf.

Wtorek był dniem Marsa, Dies Martis, po franc. Mardi, po ang. Tuesday (dzień Tin lub Tyra, germańskiego Marsa); niemiecki Dienstag wiąże się z pewnym przydomkiem tego Marsa, Thingsus, który znajdujemy na łacińskich dedykacjach żołnierzy germańskich.

Środa była dniem Merkurego, Dies Mercuri, po franc. Mercredi, po włosku Mercoledi, po angielsku Wednesday, dzień Wodana, który według kronikarzy średniowiecznych był Merkurym Germanów; Niemcy mówią Mittwoch, „środek tygodnia".

Czwartek był dniem Jowisza, Dies Jovis, po franc. Jeudi, po włosku Giovedi, angielski Thursday, niemiecki Donnerstag. Te dwie ostatnie nazwy świadczą, że Thor, czyli Donar, bóg grzmotu, jest identyczny z Jowiszem Rzymian.

Piątek był dniem Wenery, Dies Veneris, po francusku Vendredi, po włosku Venerdi. Niemiecki Freytag i angielski Friday dowodzą, że germańska Freya była utożsamiona z Wenerą.

Sobota była dniem Saturna, Dies Saturnis, po ang. Saturday, po niem. Sonnabend, co oznacza wigilję niedzieli. Nasza nazwa soboty przychodzi od hebrajskiego Sabbat, który początkowo był dniem tabu, t. zn. feralnym, a później przez Mojżesza ustanowiony jako dzień odpoczynku.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Marja Waller** w Rz.: Powieść p. t. „Książę Tagore Hirazu" przeczytałem z wielkiem zaciekawieniem. Treść bardzo zajmująca, styl potoczysty, a szczególniej opowiadanie księcia posiada bardzo ładną formę. Rzecz ta nadaje się szczególniej dla młodzieży, wartałoby ją więc wydać w formacie książkowym. Możeby „Wydawnictwo książeczek niebieskich i różowych" w Warszawie wydało ją swym nakładem. Jeżeli nie, to moglibyśmy ją drukować w „Roli", ale dopiero po ukończeniu już przygotowanych powieści do druku. Ale to czas bardzo odległy. **Józef Pachołek** w K.: Tak w wierszykach, jak i w „Jesiennych elegjach" styl napuszysty, sztuczny, naciągnięty, nienaturalny, choć forma dobra. Do „Roli" utwory te nie nadają się. **Tadeusz Iłowiecki** w K.: Wierszyk słaby, sztuczny. W jednym i tymsamym wierszu nie można używać rymów męskich i żeńskich, bo to psuje całość. Również nie można w jednej zwrotce używać tego samego słowa, aby wiersz zrymować, gdyż jest tyle słów, które dadzą się do tego użyć. A Pan w jednej zwrotce tak rymuje: „rzeki-spieki-rzeki-wieki", a to jest niedopuszczalne. **Józef Serafin** w M.: Bajka o nędzy stara, jak świat. Z innych rzeczy prawdopodobnie skorzystamy. **Stanisław Jucha** w K.: Na artykuł wstępny za krótkie. Co będzie na Boże Narodzenie, dziś jeszcze sami nie wiemy. **Augustyn Sawena** w R.: Rozwiązanie konikówki zupełnie dobre, chcąc jednak brać udział w losowaniu nagród, trzeba rozwiązać wszystkie zagadki z danego numeru. **Stanisław Golachowski** w B.: „Z życia złodzieja" słabe, nie wydrukujemy. — **Józef Górecki** w K.: Zagadki przeznaczamy do druku. — **Jan Sokołowski** w L.: Po Nowym Roku omówimy te sprawy obszernie i dokładnie; mamy dość sensacyjnego materjału pod tym względem. Narazie jeszcze zawcześnie z różnych powodów. Cześć! **Antoni Poloczek** w R.: Nadeszło dwa dni za późno. Zagadki do druku należy nadsyłać wraz z rozwiązaniem, pisane czytelnie po jednej stronie papieru. **Eugenjusz Zdun** w K.: Rękopisów z zasady nie odsyłamy; te, które nie będą drukowane, idą wprost do kosza, inne czekają na miejsce w „Roli". **Miłośnik „Roli":** Legendę będziemy starali się zamieścić. **Józef Czader** w J.: Szkoda, że się Pan dał naciągnąć na to szczęście. Najlepsze i pewne szczęście jest to, które Pan ma zaoszczędzone w kieszeni. Niedawno jakiś bank we Lwowie zamknięto, a bankowców pozamykano, ale nie wiemy, czy to ten sam bank. O ile o tym banku coś się dowiemy, to Panu damy znać. Wzajemnie pozdrawiamy. **Władysław Rusek** w K.: Konieczne jest podanie autora tej książki, to prędzej możnaby się dowiedzieć, czy nie wyczerpana. **Jan Gajoch** w W.: Za przysługę bardzo dziękujemy. Okładki już wkrótce będą do nabycia, jakoteż kalendarze. Wzajemnie pozdrawiamy.

Zagadki do nagrody.

1. Konikówka.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

		gi		
czę	do	rej	mi	dro
na	sła	ną	dą	w któ
prze	sto	ro	we	ża
ne	gi	ró	ści	wio
są	pa	ale	dy	krzy

Ruchem konika szachowego odczytać złotą myśl Kraszewskiego.

2. Szarady.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

I.

Pierwsze pół dwa, trzecie.
To szlachcice mają,
Dwa trzecie kamieniem
Pięknym nazywają.
Jaka całość, powiem
Jest bardzo szczęśliwa,
Bowiem lepsza od nas
I w niebie przebywa.

II.

Pierwsze pół drugie trzecie
To zwierzątko przecie,
Zaś drugie to fontycznie litera,
Całość sprzęt, który mieszk. nie zawiera.

3. Kalambury.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

I.

Sławny rycerz i zaimek w jednym staną [rzędzie,
Każdy Polak już to słyszał, no więc co to [będzie?

II.

Albo ładne w Polsce masz,
Albo z geometrji znasz.

4. Przestawianki.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

1. Dzik szuka coś osetu.
2. Kat Józef nosi piwo.
3. Ten fakir ceni czas.
4. Lord chowie kaczki.

5. Bilety wizytowe.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

I.

CESAR ELENTENT
NYTAR

II.

ROMAN WIETYCKI
KRATER

Ułożyć zawód powyższych osób.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 16 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 39 „Roli": 1. Konikówka: „Tem mądry od głupiego różni się najbardziej, że mądry przyjmuje radę, a głupi nią gardzi". 2. Szarady: I. Kanapa. II. Pieczary. 3. Kalambury: I. Kula. II. Papierosy. 4. Logoryf: Stefan Jarosz.

Dobrego rozwiązania wszystkich zagadek w oznaczonym czasie nikt nie nadesłał, więc też nagrody nikt nie otrzymał. Częściowe rozwiązanie nadesłało 5 Czytelników

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.

W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Chciał opuścić.

Pewien skąpiec miał sen. Śniło mu się, że sprzedawał jakiś bezwartościowy przedmiot i żądał zań 100 zł., ale kupujący nie chciał mu dać więcej niż 99. Więc krzyknął: „Nie dam taniej, niż za 100 z.!“ W tej chwili obudził się, a widząc swą próżną garść, przymknął napowrót oczy i rzekł: „Zresztą niech będzie już 99“.



Praktyczniejsze.

— Mamusia kupiła mi cieliste pończochy!

— Poproś ją, moje dziecko, żeby ci lepiej umyła szyję, tak, aby odzyskała ona cielistą barwę.



Na zgromadzeniu.

Mówca: Towarzysze! Jeszcze tylko dwa lata będzie tak źle!

Głosy: A potem?

—Potem, będzie jeszcze gorzej.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 6 października b. r.

Pszenica	22·50—23·00	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	22·25—22·50	Ziemniaki stoł.	5·00—5·50
Owies . .	22·50—22·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·06
Jęczmień .	19·50—20·50		
Fasola biała	30·00—32·00	Mąka żytnia	37·50—38·00
Groch zwyk.	27·00—29·00	Mąka pszen.	42·00—43·00
Siano słodk.	11·00—12·00	Otręby pszen.	12·00—12·75
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	12·75—13·00
Koniczpastew.	15·00—16·00	Mąka czerw.	17·00—18·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 6 października b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·80 do 0·90 zł.	Jałownik	od 0·80 do 0·97 zł.
Woły . .	od 0·90 do 1·00 zł.	Cielęta .	od 1·30 do 1·47 zł.
Krowy .	od 0·70 do 0·88 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·50 do 1·60 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 1·90 do 2.20